

Holly Jacobs

Przez różowe okulary

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Widziałaś go?

- Kogo? - spytała Libby McGuinness, skupiona przede wszystkim na tym, aby włosy z prawej strony były dokładnie tej samej długości, co z lewej.

- Wiadomo kogo - odparta lekko zniecierpliwionym głosem Mabel. - Faceta, który otwiera gabinet okulistyczny w domu obok.

- Tego doktora? Nie, jeszcze nie widziałam, ale spotkałam jego sekretarkę. Robi wrażenie sympatycznej dziewczyny.

- O doktorze Gardnerze nie powiesz, że jest „sympatyczny”. Ten facet to prawdziwy odłot!

Libby z trudem powstrzymała uśmiech. Odłot! Typowe dla Mabel, która w ogóle nie przyjmowała do wiadomości, że jest samotną wdową i dawno przekroczyła siedemdziesiątkę. Dalej zajmowała się akupunkturą, żyła pełną piersią i była bardzo popularną postacią wśród drobnych biznesmenów w Erie. Życzliwa dla świata i ludzi, interesowała się żywo losem Libby. Ślicznej Libby McGuinness, którą jej zdaniem należało jak najszybciej wydać za mąż.

- Tak, złotko. Doktor Gardner jest bardzo przystojny, wykształcony i na pewno nie musi liczyć każdego centa.

Mabel trafiła w czuły punkt. Własny salon fryzjerski na pewno dostarczał sporo satysfakcji, ale nie zawsze przyzwoity dochód. Libby westchnęła cichutko i jeszcze raz przyjrzała się bacznie, czy każdy włoszek na głowie przyjaciółki jest na swoim miejscu.

- No i jak? Zadowolona?

- Super! Znać rękę mistrza - stwierdziła entuzjastycznie Mabel, kontemplując swoje odbicie w lustrze, po czym z żelazną konsekwencją powróciła do tematu, który w jej mniemaniu był teraz najważniejszy. - Libby! Musisz

koniecznie obejrzeć doktora Gardnera. Myślę, że taki ideał trafia się bardzo rzadko.

- A ja myślę, że łatwiej ułożyć komuś włosy, niż znaleźć faceta bez zmazy i skazy - oznajmiła Libby, zdejmując z ramion Mabel pelerynkę. - Chcesz umówić się na następną wizytę?

- Koniecznie! Dałabyś radę upchnąć mnie przed Świętem Dziękczynienia? Tylko mycie i ułożenie.

Libby wyjęła z szuflady terminarz i przerzuciwszy kilka kartek, powiedziała z ulgą:

- Dam radę, Mabel. Środa, o wpół do piątej. Odpowiada ci? Postaram się tak ułożyć włosy, żeby fryzura wytrzymała co najmniej przez tydzień.

- Ekstra! - ucieszyła się siedemdziesięciolatka o psychice nastolatki, wręczając Libby dwudziestodolarowy banknot. - Muszę dobrze wyglądać, bo na te wolne dni zjeżdżają do mnie dzieciaki. Stacy zapowiedziała, że przywiezie swego nowego chłopaka, nie mogę więc dać plamy. Libby, skarbie, a ty nie myślałaś, żeby przed spotkaniem z doktorem Gardnerem zrobić coś ze swoimi włosami? Może powinnaś coś zmienić?

- Zmienić? Po co? - zdziwiła się Libby, odruchowo dotykając wspaniałego, grubego warkocza. - Nie mam najmniejszego zamiaru.

Nawet dla tego nowego doktoraka, dokończyła w duchu, wyjmując z szuflady drobne, by wydać resztę Mabel.

- Nie trzeba, złotko - zaprotestowała przyjaciółka. - Zrobiłaś mnie na prawdziwe bóstwo!

- Dzięki, Mabel. A więc jesteśmy umówione na środę, nie zapomnij.

- Tak, tak, mycie i układanie - przytaknęła Mabel, sięgając po płaszcz. - Kochanie, postaraj się jednak obejrzeć tego nowego lekarza. A może ja po prostu was ze sobą zapoznam? Zastanów się. A na razie, pa!

- Pa, pa.

Libby wsunęła banknot do kieszeni i przysiadła na krzeselku. Wcale nie miała zamiaru zawracać sobie głowy jakimś doktorkiem z sąsiedztwa. Teraz najważniejszą sprawą było zaoszczędzenie pieniędzy na prezent gwiazdkowy dla Meg. Nowy, szybki komputer, najlepszy, na jaki Libby mogła sobie pozwolić. Na niczym innym nie była się teraz w stanie skupić. A poza tym tworzyły z córką bardzo zgrany duet, w którym nie było już miejsca dla żadnego supermena, choćby nie wiem jak zachwalanego przez Mabel.

Libby spojrzała na zegarek. Jeszcze godzina i będzie mogła zamknąć salon. Bardzo lubiła swoją pracę, ale do domu zawsze biegła jak na skrzydłach. Do domu, a przede wszystkim do Meg.

Tak. Do domu, do Meg. Tylko w jaki sposób? Libby, wściekła jak diabli, najchętniej skopałaby to zielone pudło. Rano grzecznie zaparkowała za czerwonym dżipem, a teraz czekała ją niemiła niespodzianka. Wielki van z numerami rejestracyjnymi z Ohio ustawił się tak, jakby specjalnie chciał ją przyblokować. No, proszę, ma jeszcze dwa wolne miejsca, ale nie, on musiał koniecznie zaparkować obok, zapominając, że jego landara zajmuje trochę więcej miejsca niż przeciętny samochód. Ta rysa na zderzaku to na pewno też jego sprawka. Gdyby stanął chociaż kilka centymetrów dalej, może dałoby się jakoś wymanewrować. A tak - umarł w butach.

Nagle uświadomiła sobie, że od razu założyła, iż nieodpowiedzialny kierowca jest mężczyzną. A jeśli to kobieta? Natychmiast odrzuciła tę możliwość. Facet. Tylko facet. Jakiś obrzydliwy, zarozumiały bubek, który kupił olbrzymi samochód, żeby podbudować swoje ego. Spojrzała na zegarek. No tak, jest już spóźniona. Meg czeka u Hendersonów, a ona w żaden sposób nie może wydostać się z parkingu. Co robić? Wezwać policję? Powinni tędy co jakiś

czas przejeżdżać, ale oczywiście nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni. Pobiec na posterunek? To niedaleko, a odczułaby wielką satysfakcję, gdyby właścicielowi tego zielonego złomu wlepili porządny mandat. Może dać sobie jednak spokój z policją i wezwać pomoc drogową, żeby go odholowali? Bez sensu. Trzeba przede wszystkim zadzwonić do Hendersonów i uprzedzić o spóźnieniu, a potem cierpliwie poczekać na tego idiotę. A jak przyjdzie, już ona da mu porządnie popalić.

Nagle Libby zadrżała i otuliła się mocniej płaszczem. Lodowaty północny wiatr, wiejący od strony jeziora Erie, przeniknął ją do szpiku kości. Szybko otworzyła drzwi samochodu i wsunęła się do środka. Zapaliła silnik i włączyła ogrzewanie. Trudno, jeśli już musi czekać, to przynajmniej w przyzwoitych warunkach. Zresztą na pewno długo to nie potrwa. W Erie o piątej zamykano prawie wszystko, było więc bardziej niż prawdopodobne, że któraś z tak bardzo teraz przez nią pożądanых osób - właściciel vana albo właściciel dżipa - zjawi się za kilka minut.

Kiedy sięgała po komórkę, kątem oka zauważyła, że drzwi prowadzące do nowo otwartego Gabinetu Okulistycznego Gardniera uchylły się. Natychmiast odłożyła telefon i wlepiła wzrok w wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który zdecydowanym krokiem ruszył w jej kierunku. Spokojnie odczekała, aż mężczyzna położy rękę na klamce drzwi vana i jak tygrysyca wyskoczyła z samochodu.

- Chwileczkę!

Mężczyzna odwrócił się. Jedno jego spojrzenie sprawiło, że Libby zadrżała. Był niesamowicie przystojny. Po prostu oszałamiający.

- Tak, słucham panią - odezwał się niezwykle uprzejmie, a ona musiała przyznać, że również jego uśmiech był wprost zniewalający. Ale nie na tyle, aby bez reszty oczarować rozjuszoną Libby McGuinness.

- To słuchaj pan uważnie! - warknęła. - Nie wiem, jak parkuje się w Ohio, ale tu, w Pensylwanii, zawsze zostawiamy półmetrowy odstęp, żeby nie blokować nikomu wyjazdu.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Zapamiętam to sobie - obiecał uprzejmie, sadowiąc się za kierownicą. Nie ulegało wątpliwości, że zamierzał się ulotnić. Jednak Libby nie czuła się jeszcze w pełni usatysfakcjonowana.

- To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Żadnych przeprosin? Nawet obietnicy, że to się już nigdy nie powtórzy?

- Nie, proszę pani, nie zamierzam dłużej się kajać. Jestem bardzo zmęczony i chciałbym jak najszybciej znaleźć się w domu. I nie życzę sobie, żeby jakiś niedzielny kierowca...

- Co?!

- Tak, niedzielny - potwierdził z westchnieniem. - Żeby mnie pouczał, skoro sam nie ma pojęcia o parkowaniu.

- Jak pan śmie?! Byłam tu pierwsza, pan władował się potem, i to tak umiejętnie, że załatwił mi pan zderzak.

- Bo my, w Ohio, zawsze staramy się stanąć przynajmniej pół metra od linii.

- To przecież oczywiste - zachnęła się Libby i spojrzała w dół. Nie mogłaby się upierać nawet przy dziesięciu centymetrach. Jej neon stał tuż przy linii.

- No właśnie - stwierdził zjadliwym tonem mężczyzna. - Polecam strzeżony parking na rogu Dziewiątej i Peach. Tam przynajmniej dopilnują, żeby pani ustawiła swój samochód jak należy.

Głośne trzaśnięcie drzwiami świadczyło dobitnie, że właściciel vana dalszą dyskusję uważa za bezcelową, jednak Libby nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Energicznie postukała w szybę.

- A może to pan powinien parkować za rogiem? Najpierw jednak radzę wybrać się do okulisty.

- Nie ma mowy - mruknął mężczyzna. - Komu by się chciało drałować codziennie taki kawał.

- Codziennie? - powtórzyła ze zdumieniem Libby, która mogłaby przysiąc, że bystre, brązowe oczy jej rozmówcy nie wymagają leczenia. - Tak często musi pan przychodzić do okulisty?

- Poniekąd - padła spokojna odpowiedź. - Po prostu to ja jestem okulistą.

Libby poczuła, że pieką ją policzki. A więc to jest faworyt Mabel! Trzeba przyznać, że miło na niego popatrzeć, ale o charakterku lepiej nie wspominać.

- Doktor Gardner? - spytała ostrożnie.

- Tak, do usług. A pani? Czy mogę wiedzieć, z kim miałem... hm... przyjemność?

- Libby McGuinness, jestem pana sąsiadką.

- Mieszka tu pani?

- Nie, pracuję. Jestem właścicielką salonu piękności, tego obok pańskiego gabinetu. Wygląda na to, że oboje jesteśmy skazani na parkowanie w tym miejscu. Radziłabym więc, aby zafundował pan sobie kilka lekcji parkowania. Tak na wszelki wypadek.

Na twarzy doktora Gardniera znów pojawił się promienny uśmiech.

- Zgoda. Pod warunkiem, że pani do mnie dołączy.

Libby nie odwzajemniła uśmiechu. Najchętniej pokazałaby mu język, jednak z racji wieku musiała uciec się do innych sposobów.

- Nie sądzę, aby mnie osobiście potrzebne były jakieś lekcje - oznajmiła wyniośle. - Tym bardziej w towarzystwie kogoś, kto ma wyjątkowo wysokie mniemanie o sobie, a

ponadto... jest po prostu arogancki! Może więc w końcu usunie pan stąd tego zielonego grata i pozwoli mi wyjechać.

Uśmiech na twarzy doktora zamienił się w grymas.

- Nigdy jeszcze w nowym miejscu nie witano mnie aż tak życzliwie - skomentował, wyraźnie poirytowany. Libby poczuła się trochę głupio, ale trwało to zaledwie mgnienie oka.

- Dziwne, doprawdy - mruknęła złośliwie, sadowiąc się z powrotem za kierownicą.

Zielony van cofnął się i Libby, nareszcie wolna, ruszyła do domu. Pół godziny później, wpatrzona w drobną dziewczynkę z czarnymi warkoczykami, nie pamiętała o niemiłej przygodzie na parkingu.

- Mamo! Jenny zwymiotowała na środku klasy - opowiadała z przejęciem Meg. - Woźny posprzątał, ale wciąż brzydko pachniało i mieliśmy lekcje w stołówce. Tylko że tam też śmierdziało.

Libby patrzyła na drobną buzię w oprawie ciemnych włosów, na smukłe paluszki i ręce, gestykulujące z zawrotną szybkością, i jak zwykle rozpierało ją poczucie szczęścia i dumy. Jej córeczka z roku na rok stawała się coraz cudowniejsza. A tych lat minęło już dziesięć, zresztą, nie wiadomo kiedy. Jeszcze niedawno Meg była taka malutka... Libby, czując, że popada w sentymentalizm, szybko wróciła do konkretów.

- Masz coś zadane? Meg skrzywiła się.

- Mamo! Pytasz mnie o to codziennie! A jeśli już wszystko odrobiłam?

Libby uśmiechnęła się. Jak to dobrze, że Meg trzeba przypominać o lekcjach. Wymieszała sałatkę i zadała kolejne pytanie:

- Może jednak nie odrobiłaś?

Ręce Meg poruszały się teraz zdecydowanie wolniej niż wtedy, gdy dziewczynka opowiadała o przygodzie Jenny.

- Dobrze, dobrze, zaraz odrobie.

- W porządku, kochanie. Jak skończysz, siadamy do stołu.

Patrzyła, jak córeczka biegnie przez hol. Zwykła, mała dziewczynka, choć nie każda dziesięciolatka ma tak roztańczone ręce. To jedyna oznaka, że Meg jest jednak inna, mimo że też trzeba zapędzać ją do lekcji, jej pokój na ogół wygląda jak po przejściu tornada, a każdą wolną chwilę spędzała na internetowych pogaduszkach z zaprzyjaźnionymi dziećmi. Libby pilnowała, aby Meg nie uzależniła się od komputera, zdawała sobie jednak sprawę, że jest on niezbędny. Jej córeczka musiała mieć jak najwięcej możliwości komunikowania się ze światem. Na razie sprzęt, jakim dysponowały, nie był najwyższej jakości, ale Libby stawiała na głowie, żeby Święty Mikołaj okazał się w tym roku wyjątkowo hojny. Tak, ta sprawa była teraz najważniejsza.

Sprawy Meg Libby zawsze stawiała na pierwszym miejscu. Sama wychowywała córeczkę, bo ojciec Meg, Mitch, odszedł, kiedy dziewczynka miała zaledwie kilka miesięcy. Natomiast dla Libby każda chwila spędzona z córeczką stanowiła kolejny dowód na to, że macierzyństwo jest najcudowniejszą rzeczą na świecie.

Po półgodzinie mama i córka zasiadły do spaghetti. Między jednym kęsem a drugim dziewczynka opowiadała o nowej grze komputerowej, w którą grała z Jackie Henderson.

- Grałam w to po raz pierwszy i pokonałam Jackie.

- Na pewno będzie chciała się odegrać.

- Nie da rady. Moje palce są o wiele szybsze.

Po dziewięciu latach używania języka migowego również palce Libby były bardzo szybkie, jednak nie tak, jak paluszki Meg. Cóż, biedna Jackie Henderson nie miała żadnych szans.

Na dźwięk dzwonka u drzwi zamigotało światło w całym mieszkaniu, i Meg natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Ja otworzę!

Libby szybko wstała z krzesła, przyrzekając sobie w duchu, że stanowczo musi porozmawiać z Meg na temat tego biegania do drzwi, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku. Meg zawsze chciała sama otworzyć. Tym razem też dopięła swego i kiedy matka weszła do holu, drzwi były już otwarte, a ręce dziewczynki przekazywały sensacyjną wiadomość:

- Mamo, kwiaty!

- Pani Libby McGuinness? - spytał uśmiechnięty dostawca.

- Temu panu bardzo zależało, żeby otrzymała pani bukiet jeszcze dzisiaj, toteż nie żałował grosza.

Zdumiona Libby odebrała piękną wiązaną i wręczywszy chłopcu napiwek, zamknęła drzwi. Do kwiatów dołączony był bilecik: Miła, aczkolwiek nieco narwana i pyskata sąsiadko! Pozwalam sobie przekazać numer telefonu najlepszej ponoć w mieście szkoły nauki jazdy. Parkowanie to ich specjalność. Życzę sukcesów!

Zanim zdążyła się zdenerwować, mała ręka energicznie szarpnęła ją za rękaw.

- Mamo, co tam jest napisane?

- Nic ważnego. Chodź, skończymy jeść.

- Ale od kogo te kwiaty?

- Od jednego pana, który nie umie parkować i wydaje mi się, że jest bardzo dowcipny.

- Czy jest przystojny?

- Nie, nie jest przystojny.

- Ty też nie umiesz parkować!

- Ty mała paskudo!

Libby pociągnęła Meg za warkoczyk i dziewczynka ze śmiechem pobiegła do kuchni. Libby poszła za córeczką,

czując, że powoli poprawia jej się nastrój. Przy stole ich ręce znów zaczęły tańczyć.

- Umiem parkować.

- Nieprawda. Próbujesz i próbujesz, a i tak zawsze źle się ustawisz.

- Jedz!

- No dobrze, już dobrze.

Podczas kolacji myśli Libby nieustannie krążyły wokół osoby doktora Gardnera. Facet miał tupet. Chyba nie sądził, że zdoła ją udobruchać bukietem i niezbyt dowcipnym bilecikiem? O nie, mój panie, ze mną nie pójdzie ci tak łatwo, postanowiła, unosząc dumnie podbródek. Libby McGuinness potrafi pozostać niewzruszona. Zdążyła się już przekonać, jak arogancki potrafi być doktor Gardner, bo podczas zajścia na parking nie zachował się przecież jak dżentelmen. Teraz ujawnił jeszcze jedną, bardzo brzydką cechę. Jego poczucie humoru było wręcz tragiczne. Owszem, jest przystojny, ale to nie znaczy jeszcze, że mu wszystko wolno. Chociaż na pewno już co najmniej połowa żeńskiej populacji miasta Erie zagięła na niego parol.

Spokojnie, przecież on dopiero się wprowadził, na dum wielbicielek trochę za wcześnie. Za wcześnie? Poczekajmy tydzień, a okaże się, że co druga pani w Erie ma kłopoty ze wzrokiem! Będą walić do niego drzwiami i oknami. Jednak na pewno nie Libby McGuinness. Jest nieugięta i taka pozostanie. Czy aby na pewno? Jakiś cichutki głos wewnętrzny ostrzegał, że na pewno nie skończy się na bileciku dołączonym do kilku kwiatków. Czyżby szykowały się kłopoty?

Kłopot tego dnia miał przede wszystkim doktor Joshua Gardner. Wybór tapet do poczekalni okazał się przedsięwzięciem ponad jego siły. Owszem, posłusznie przewracał kartki kolorowego katalogu, ale zamiast fantastycznych wzorów widział jedynie błękit. Porażający błękit

oczu tej narwanej pani, która na parkingu usiłowała zmieszać go z błotem. Trzeba przyznać, że miała trochę racji. Wcale nie zaparkował idealnie. Rano bardzo się śpieszył i wybrał pierwsze wolne stanowisko, nie zastanawiając się, czy jego okazały van nie utrudni komuś wyjazdu. A potem, kiedy właścicielka błękitnych oczu dość ostro wypomniała mu jego błąd, wcale nie próbował załagodzić sytuacji. Był piekielnie zmęczony po całym dniu i marzył o odpoczynku. Niestety, otwarcie nowej praktyki zawsze wymaga trochę wysiłku. W sumie więc nie zachował się najlepiej i wracając do domu, wpadł na pomysł, żeby w formie przeprosin wysłać kwiaty. Nie chciał zadzierać z nową sąsiadką, zwłaszcza taką atrakcyjną. Piekliła się i krzyczała, ale to wcale nie wpłynęło niekorzystnie na jej urodę.

Josh uśmiechnął się i mimo wszystko spróbował skupić uwagę na katalogu, tym bardziej że w oczach Amy, jego nowej sekretarki, pojawiło się zniecierpliwienie. Trzeba więc coś wybrać. Kolor tapet na pewno nie zaważy na losach świata, ale może na przykład wpływać deprymująco na pacjentów.

- Ten!

- Jest pan pewien? - spytała sekretarka dość niepewnym głosem.

- Najzupełniej!

- No cóż, pan tu jest szefem - stwierdziła Amy z rezygnacją, wyjmując mu z ręki katalog.

Szefem! Josh znów się uśmiechnął. A tak, jest szefem i to on podejmuje decyzje. Przeprowadził się do Erie i kupił od doktora Mastera praktykę okulistyczną, a przy okazji cały budynek. Jego konto, mocno uszczuplone po rozwodzie, teraz prezentowało się żałośnie. Cała nadzieja w pacjentach. Josh rozejrzał się po pustym jeszcze gabinecie. Jutro zacznie się malowanie i tapetowanie, potem trzeba będzie ustawić meble i

specjalistyczną aparaturę. Spokojnie, wszystko jest pod kontrolą i pójdzie dobrze. Przecież wrócił do rodzinnego miasta z zamiarem odniesienia wielkiego sukcesu.

Telefon na biurku cichutko zabrzączał.

- Panie doktorze!

- Tak, Amy?

- Dochodzi ósma.

- W porządku, wychodzimy.

Doktor Joshua Gardner zebrał papiery rozrzucone na biurku i włożył do szuflady. Będzie dobrze. Jest w rodzinnym mieście. Wykonuje zawód, który kocha. Pacjenci nie zawiodą. Na pewno już zaskarbił sobie życzliwość błękitnookiej pani z sąsiedztwa, której posłał kwiaty. Przecież kobiety uwielbiają dostawać takie dowody życzliwości i pamięci. Tak, na pewno wszystko ułoży się wspaniale.

ROZDZIAŁ DRUGI

- A więc, co o tym sądzisz, złotko?

Ósma godzina to stanowczo zbyt wczesna pora, aby mieć zdanie na jakikolwiek temat. Pierwszą klientkę Libby zwykle umawiała na wpół do dziewiątej, kiedy zdążyła już wypić mocną kawę i uporać się z papierkową robotą.

Teraz, wsypując kawę do ekspresu, zastanawiała się gorączkowo, jak delikatnie powiedzieć Mabel, że jej pomysł wcale nie jest taki znakomity.

- Sama nie wiem...

- Nie musisz wiedzieć! - przerwała Mabel kategorycznym tonem. - Po prostu zgódź się. Dasz sobie świetnie radę, a przy okazji trochę się rozerwiesz.

- Dlaczego ty sama tym się nie zajmiesz?

- Ponieważ, jako prezeska naszego klubu, mam mnóstwo innych rzeczy na głowie. Teraz kolej na ciebie. I to ty - Mabel, żeby nie było żadnych wątpliwości, wskazała palcem na Libby - ty, złotko, zorganizujesz spotkanie klubowe z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Potrzebny mi ktoś, na kogo mogę liczyć.

- Ale ja nie mam czasu! - jęknęła Libby. - Pracuję cały dzień, a potem chcę być z Meg!

- Wiem, wiem! A gdybym przydzieliła ci kogoś do pomocy?

Libby zbyt dobrze знаła panią prezes, aby mieć choćby cień nadziei, że uda jej się wykręcić.

- Kogo? - spytała zrezygnowanym głosem. - Jakąś martwą duszę czy rzeczywiście kogoś, kto weźmie część obowiązków na siebie?

- Naturalnie, że kogoś do roboty - zapewniła Mabel, podnosząc dwa palce, jakby składała uroczystą przysięgę.

- No, to może... Tylko, czy ja na pewno dam sobie radę?

- Poradzisz sobie, a przy okazji wyrwiesz się na trochę z domu. Libby! Mówię to z dobrego serca. Nie można tylko

pracować i zajmować się dzieckiem. Należy ci się od życia coś więcej! Wiem, że potrafisz wykrzesać z siebie niezwykle pokłady energii!

W głosie Mabel było tyle entuzjazmu, że Libby mimo porannej senności poczuła lekki niepokój.

- Napijesz się kawy, Mabel?

- Nie, dziękuję.

Libby naalała sobie gorącej kawy do kubka i wypila pierwszy łyk.

- Co dokładnie zaplanowałaś?

- To będzie miła, kameralna impreza z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Żadna pompa. Zbiorą się wszyscy członkowie naszego klubu... - Mabel przerwała i spojrzawszy trochę niepewnie na Libby, dokończyła: - razem z rodzinami.

- Co?!

Libby błyskawicznie dokonała obliczeń. Klub Biznesmenów z Perry Square liczył około pięćdziesięciu członków. Żony i mężowie podwoją tę liczbę.

- Czyli ile tam będzie osób? Setka?

- Na pewno nie więcej niż dwieście - rzuciła niedbałym tonem Mabel. - Nie zapominaj o dzieciach. Ale nie martw się, przygotowałam listę z wszystkimi datami urodzenia.

Libby spojrzała ze zdumieniem na kobietę, która mieniła się jej przyjaciółką.

- A po co te daty? - spytała niepewnym głosem.

- Jak to? Przecież przyjdzie Święty Mikołaj i każde dziecko dostanie prezent, oczywiście odpowiedni do swego wieku.

- Prezenty!

Dwie rzeczy stały się nagle dla Libby jasne jak słońce. Mabel nie tylko nie była jej przyjaciółką, lecz w dodatku ta podejrzana osoba postradała zmysły.

- Mabel! Ty oszalałaś! - powiedziała z mocą. - Myślałam, że to będzie uroczyste śniadanie w restauracji, tylko dla dorosłych, a nie jakiś festyn rodzinny. Nie ma mowy, żebym...

- Zorganizowała to sama - dokończyła Mabel. - Oczywiście, że nie, i stąd mój pomysł, żeby przydzielić ci kogoś do pomocy.

- Kogo?

Libby zastanawiała się gorączkowo, kto mógłby okazać się na tyle lekkomyślny, żeby dać się wrobić. Niestety, oprócz niejkiej Libby McGuinness, nikt inny nie przychodził jej do głowy.

- Powiem ci, kiedy będę miała pewność - oznajmiła Mabel, sunąc już ku drzwiom.

- Mabel, wkurzasz mnie.

- Wiem, i wiem również to, że wkurzam mnóstwo innych ludzi. Nie wiem natomiast, z jakiego powodu.

- Może dlatego, że masz ostry język i nikogo nie oszczędzasz.

- Przecież wszystkim znajomym wychodzi to na dobre! Pa, złotko!

Libby patrzyła przez okno, jak siwowłosa entuzjastka rączym krokiem przemierza plac. Kochana Mabel, nic, tylko ją udusić! Przyjęcie na dwieście osób. Dorośli i dzieciaki, dla których trzeba kupić odpowiednie prezenty. Bagatelka. Ale teraz Libby nie miała czasu zaprzętać sobie tym głowy, bo za chwilę spodziewała się pierwszej klientki. Pomartwi się później, a faktycznie, jest czym. Jakim cudem uda jej się znaleźć czas na realizację pomysłu Mabel, skoro salon będzie przeżywał prawdziwe obleżenie. Tak było zawsze między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem.

Boże Narodzenie... Libby rozmarzyła się. Choinka skrząca się różnokolorowymi światełkami, wniebowzięta mina Meg na widok wspaniałego prezentu... Pomyślała, że nawet

najbardziej szalony pomysł Mabel nie powinien zepsuć nastroju oczekiwania na te najpiękniejsze w roku święta, kiedy w sercu każdego człowieka gości miłość i życzliwość.

Z zapałem rzuciła się w wir pracy i aż do wieczora udało jej się zachować spokój i pogodę ducha. Zdenerwowała się dopiero o wpół do piątej, kiedy na progu ukazała się znajoma postać. Doktor Gardner, mistrz parkowania.

- Czym mogę panu służyć?

Zarówno ton głosu, jak i wyraz oczu pani McGuinness świadczyły dobitnie, że ten właśnie klient nie powinien liczyć na jej względy. Mimo to pan doktor spokojnie rozsiadł się na krześle przed lustrem i zadysponował:

- Proszę mnie ostrzec.

- A więc to pan jest ta J. Gardner, panie doktorze?

Kto by przypuszczał, że klientka J. Gardner, wpisana przez Josie na wpół do piątej, nie jest kobietą, a właśnie tym indywiduum z parkingu! Libby wściekłym wzrokiem poszukała swoich współpracownic. Oczywiście, obie wymiotło na zaplecze. Nie szkodzi, i tak nie ominie ich dłuższa pogadanka po godzinach pracy.

- Tak, to ja. A na imię mam Joshua, nie „pan doktor”. Większość znajomych mówi do mnie Josh.

- Ja wolałabym zwracać się do pana „panie doktorze” Nagle Libby zdała sobie sprawę, że doktor nie odrywa wzroku od jej odbicia w lustrze. Spojrzenie brązowych oczu było bardzo intensywne i Libby poczuła się nieswojo.

- A jeśli nie będę z tego zadowolony... Libby?

- Trudno. Wolę, żebyśmy zwracali się do siebie bardziej oficjalnie - oświadczyła sucho, zarzucając mu na ramiona pelerynkę. - Ja nazywam się McGuinness.

- Nadal dąsa się pani z powodu tego incydentu na parkingu?

- Dąsam?

Libby wyjęła grzebień z pojemnika ze środkiem dezynfekującym i zaczęła nim głośno postukiwać o blat, aby strząsnąć nadmiar płynu.

- Jednak tak - stwierdził z westchnieniem Josh. - Czyli kwiaty plus wysiłek, włożony w odszukanie pani adresu w książce telefonicznej nie dały spodziewanego efektu.

- Doceniam pański trud w związku z książką telefoniczną, tym bardziej że niezbędna była znajomość alfabetu - rzuciła zjadliwie Libby. - Jednak, choć bardzo lubię kwiaty, tekst na pańskim bileciku odebrałam jako... zniewagę.

Gdyby autorem bileciku był ktoś inny, Libby potraktowałaby całą sprawę jako kiepski dowcip, którym nie warto się przejmować. Jednak napisał go przecież ten beznadziejny doktorek, szczerzący teraz zęby w lustrze...

Spojrzała z niesmakiem na gęste, czarne włosy doktora. Nie miała najmniejszej ochoty ich dotykać. Dziwne. Przecież, obiektywnie rzecz biorąc, doktor był bardzo przystojny i schludny, a ona strzygła już setki męskich głów.

- Chwileczkę, czyli moje przeprosiny odebrała pani jako zniewagę?

- Trudno, żeby było inaczej.

- Zdaje się, że poczucie humoru nie jest pani najmocniejszą stroną?

- Nie jestem ponurakiem, panie doktorze, jeśli właśnie to pan sugeruje. Ale też nie ryczę ze śmiechu, kiedy nie ma ku temu powodu.

Ząb za ząb. Libby nie poznawała samej siebie. Nie była osobą kłótliwą, nie chowała długo urazy, ale kiedy patrzyła na pana doktora, czuła, że wstępuje w nią diabeł.

- Czyli daje mi pani do zrozumienia, że wcale nie jestem zabawny?

- Naturalnie, że jest pan zabawny, ale to nie wynika z pańskiego poczucia humoru.

- A wiele kobiet uważa mnie za całkiem sympatycznego gościa.

Nagle Libby zdała sobie sprawę, że na zapleczu panuje martwa cisza. No tak, Pearly i Josie starają się nie uronić ani jednego słowa z jej utarczki z doktorem. Najwyższy czas skierować rozmowę na zupełnie inne tematy.

- Zapewne dlatego, że szczerzy pan do nich zębami, ale na mnie pańskie uśmiechy nie działają - palnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język. - Jak strzyżemy?

- Normalnie - powiedział Josh głosem o ton mocniejszym.
- Po prostu proszę skrócić.

- Jest pan pewien, że można mi zaufać? Ostatecznie mam w rękę bardzo ostre narzędzie...

- Bezgranicznie pani ufam. Nie zaatakuję pani klienta, zwłaszcza takiego, który płaci gotówką.

- Ma pan rację, to byłoby nierozsądne.

Libby spryskała włosy doktora wodą i zabrała się do pracy. Na szczęście dowcipny klient zamilkł, ciszę zakłócał jedynie szcęk nożyczek. Joshua Gardner może nie był tak czarujący, jak sobie wyobrażał, musiała jednak uczciwie przyznać, że miał wspaniałe włosy. Były mocne, gęste, lekko kręcone. Takie włosy trzeba strzyć często, o ile ich właściciel nie chce wyglądać jak zaniedbany pudel. Libby z lubością przeczesywała palcami czarną gęstwinę, dopóki nie zmroziła jej uwaga wypowiedziana lodowatym głosem:

- Długo jeszcze będzie mnie pani tak pieścić? Ręce Libby natychmiast opadły.

- Proszę pana! Jeśli pan sobie nie życzy, żebym pana dotykała, to po co pan w ogóle tutaj przyszedł?

- Szczerze mówiąc, chciałem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu - wyznał nagie doktor. - Podstrzyć włosy i przy okazji porozmawiać o organizacji spotkania świątecznego.

Libby poczuła, że robi jej się duszno.

- Jakie... co za spotkanie? - wykrztusiła.

Doktor znów wyszczerzył zęby i odwróciwszy się, energicznie wyciągnął dłoń.

- Pani pozwoli, że się przedstawię! Joshua Gardner, współorganizator świątecznego spotkania członków Klubu Biznesmenów przy Perry Square. Do usług.

Libby pobladła.

- Jednak ją uduszę.

- Domyślam się, o kim pani mówi - stwierdził z westchnieniem Josh. - Według pani Mabel popełniła niewybaczalny błąd, wyznaczając właśnie nas oboje do organizacji tego przyjęcia. Myślę jednak, że ujdziemy z tego z życiem, o ile tytko będziemy parkować z dala od siebie.

Swoje wywody doktor poparł szerokim uśmiechem, który zapewne nieraz już pomógł mu wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Nie docenił jednak Libby.

- Ja pasuję - oznajmiła twardo. - Nie ma mowy. Uśmiech doktora nieco przybladł.

- Słucham?

- Niech pan sam się tym zajmie.

- Sam nie dam rady. Nie było mnie w Erie kawał czasu, wszystko tu się zmieniło.

- Na pewno znajdzie pan kogoś do pomocy.

Libby oczyma wyobraźni zobaczyła Josie i Pearly, wybiegające z zaplecza i błagające przystojnego doktora, aby pozwolił sobie pomóc. Podniosła więc głos i donośnie oznajmiła:

- Mam nadzieję, że przynajmniej jedna z moich pracownic z chęcią włączy się do przygotowań.

Z zaplecza dobiegł jakiś dziwny, głuchy odgłos. Niestety, nie wybiegła stamtąd żadna ochotniczka, a Libby poczuła, że każda minuta spędzona w towarzystwie doktora Gardnera staje się męką nie do zniesienia. Tymczasem doktor Gardner

przez dłuższą chwilę bacznie studiował jej twarz, po czym wypalił prosto z mostu:

- Czego ty się właściwie boisz, Libby?

- Nie Libby, a pani McGuinness! - przypomniała natychmiast. - Niczego się nie boję. Tylko nie mam zamiaru udawać, że uważam pana za miłego faceta. Ani kwiaty od pana, ani dowcipne bileciki nie sprawiają mi żadnej przyjemności, tak samo jak czesanie pana włosów czy podziwianie pańskich białych zębów. Krótko mówiąc, musi pan znaleźć kogoś innego do pomocy.

- Czy mam rozumieć, że jest pani aż taka dziecinna? Z powodu jednego niefortunnego zdarzenia na parkingu wyklucza pani jakiegokolwiek kontakty między nami?

Doktor Gardner, nie kryjąc irytacji, ściągnął pelerynkę i wstał, z impetem odsuwając krzesło.

- Tak, panie doktorze! - oświadczyła niezłomnie Libby. która teraz, aby posłać mu groźne spojrzenie, musiała unieść głowę. - Wykluczam jakiegokolwiek kontakty między nami.

- Czy pani nie przesadza? Przecież tu nie chodzi o jakieś prywatne sprawy, tylko o działalność na rzecz klubu, do którego oboje należymy. To wszystko. Jest pani dorosła i powinna pani z łatwością przejść do porządku dziennego nad takimi głupstwami jak mała sprzeczka. Chyba że... woli mnie pani unikać z zupełnie innych powodów.

Strzał był wyjątkowo celny. Zacietrzewiona Libby gotowa była odeprzeć każdy atak. Ale teraz, w obliczu tak bezsensownych insynuacji, zabrakło jej argumentów.

- W porządku - powiedziała krótko, aczkolwiek niezbyt sensownie.

- W porządku? To znaczy, że zgadza się pani ze mną współpracować?

- Tak, zgadzam się. Ale żadnych kwiatów z bilecikami i parkowania w pobliżu. Nasze spotkania ograniczymy do minimum.

Josh wyciągnął rękę i Libby, choć z ociąganiem, uścisnęła podaną dłoń.

- A zatem jesteśmy partnerami - podsumował doktor pogodniejszym tonem.

- Chwilowo - skomentowała dość ponuro Libby. Josh sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot.

- Czy to wystarczy?

- Oczywiście. Już wydaję panu resztę.

- Dziękuję, nie trzeba. Czy moglibyśmy spotkać się jutro po pracy?

Libby, po pierwsze wolałaby wydać resztę, a po drugie, wcale nie miała ochoty spotykać się jutro z panem doktorem. Jednak każdy dodatkowy dolar zwiększał szansę zakupu komputera dla Meg, która i tak miała spędzić cały jutrzejszy wieczór u Hendersonów.

- Dobrze.

- A więc wpadnę jutro po panią, pani McGuinness. Do widzenia!

Trzasnęły drzwi. Libby opadła ciężko na krzesło i tępych wzrokiem spojrzała na dwie postaci, wynurzające się z zaplecza.

- Już myślałam, że się wycofasz - powiedziała słodkim głosem Josie, głaszcząc ją po ramieniu.

Josie miała wściekle rude, króciutko ostrzyżone włosy i jakby dla kontrastu, niezwykle długie paznokcie, starannie wypielegnowane, pokryte jaskrawym lakierem. Była manikiurzystką.

- Myślę, że Mabel znalazła dla ciebie idealnego pomocnika.

- Idealnego? - prychnęła Libby. - Apodyktyczny, Arogancki i w dodatku uważa się za supermena.

- Nie przesadzaj - przystopowała ją Pearly. - Opowiedz lepiej, jak to było z tymi kwiatami.

Pearly, która bez żadnych kompleksów prezentowała światu siwiejące włosy brunetki, pochodziła z Południa i na całe życie zachowała miękką, śpiewną wymowę. Była kobieca i łagodna, a przy tym bardzo niezależna.

- Podśłuchiwałyście - stwierdziła Libby z rezygnacją, choć właściwie nie musiała tego mówić, bo było powszechnie wiadomo, że Josie i Pearly podśłuchują i plotkują bez opamiętania. Nie bez kozery świetnie dogadywały się z Mabel. - Mogłyście śmiało iść do domu

- Do domu? - Josie roześmiała się szefowej prosto w nos.
- I stracić takie przedstawienie? Nie wymagaj od nas zbyt wiele.

- A co to były za hałasy?

- Ze złości kopnęłam w ścianę - przyznała Josie. - Bałam się, że zrezygnujesz.

- Szkoda, że tego nie zrobiłam - powiedziała Libby głosem męczennicy, demonstracyjnie masując sobie skronie. Obcowanie z doktorem Gardnerem przyprawiło ją o ból głowy, który wzmógł się, gdy przyszło jej teraz odpierać ataki Josie i Pearly.

- Kochanie moje - zagruchała słodko Pearly. - Jeśli los podsuwa ci tak przystojnego faceta, nie wolno wypuszczać go z rąk.

- A mnie się wydaje, że najrozsądniej byłoby zrobić unik - stwierdziła sucho Libby.

- Jesteś beznadziejna - oświadczyła Josie.

- Nie, moja droga - odparła lodowatym głosem szefowa. - Po prostu jestem realistką.

Joshua Gardner też był realistą, w każdym razie na tyle, aby zauważyć, że Libby, to znaczy pani McGuinness, wpakuje go w kłopoty. Ta kobieta musi być wielką przeciwniczką całego rodu męskiego. Albo uwzięła się tylko na jednego... Ciekawe, dlaczego wzbudzał w niej tak żywiołową niechęć. W sumie to nieistotne. Jedno jest pewne. Współpraca z tą panią będzie koszmarem i trzeba było pozwolić jej się wycofać. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Mabel wyznaczyła do tego zadania kogoś innego. Ale on, głupek, sam przekonywał Libby, że ich współpraca świetnie się ułoży. Takie postępowanie nie miało najmniejszego sensu, a przecież on był wielkim zwolennikiem racjonalnego działania. Może dlatego tak długo nie mógł pogodzić się z rozpadem swego małżeństwa. Pewnego dnia Lynn po prostu zażądała rozwodu, choć Josh był przekonany, że funkcjonują ani lepiej, ani gorzej niż setki innych małżeństw, i nie ma powodu, aby cokolwiek zmieniać. Nie rozumiał postępowania małżonki, dopóki nie zobaczył, dlaczego Lynn chce z nim się rozstać. Jej przyjaciel miał dwadzieścia pięć lat i ciało jak antyczny bóg. Josh dyskretnie spojrział w dół. Jego brzuch może nie był płaski jak deska, ale wcale nie wyglądał najgorzej. W końcu Josh dbał o siebie, przede wszystkim po to, aby zbliżając się do czterdziestki, zachować przyzwoitą kondycję. W każdym razie pozbierał się już po rozwodzie i czuł się świetnie, tym bardziej że nie miał poczucia zmarnowanych lat. W jego małżeństwie z Lynn istniał właściwie tylko jeden problem. Tak, tylko jeden, ale bardzo istotny. Josh chciał mieć potomstwo, a Lynn absolutnie była temu przeciwna. Zdobyła wykształcenie, robiła karierę zawodową i nie miała zamiaru z niczego rezygnować na rzecz nowych obowiązków. Josh tłumaczył, że będą razem dzielić wszystkie trudy i radości, ale Lynn była nieprzejednana. Z czasem doszło do tego, że łączyła ich jedynie wspólnie prowadzona praktyka okulistyczna. Po

rozwodzie Lynn przejęła cały biznes, spłacając Josha, który w ten sposób zdobył pieniądze na nowy start.

Na rozpoczęcie nowego życia w Erie, w którym się urodził. I chociaż nie mieszkał tu już nikt z jego bliskich, nadal uważał to miasto za swe rodzinne gniazdo. Kiedy Mabel zaproponowała mu włączenie się do organizacji klubowego spotkania, przyjął jej propozycję z ochotą, zdając sobie sprawę, że będzie to świetna okazja, aby zżyć się z lokalną społecznością. Ze wszystkimi, również z niezbyt zrównoważoną panią McGuinness! Ostatecznie pracowali po sąsiedzku i powinni utrzymywać przynajmniej poprawne stosunki. Wspólna praca na rzecz klubu być może szybko pozwoli im zapomnieć o tym głupim zdarzeniu na parkingu. To wszystko. A błękit oczu pani McGuinness naprawdę nie ma tu nic do rzeczy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Spotykali się, by omówić przygotowania do przyjęcia świątecznego. Tylko tyle, a zatem nie ma się czym przejmować. Libby powtórzyła to sobie już chyba po raz setny, starając się całkowicie skoncentrować na włosach klientki. Niestety, mimo iż jej ręce były sprawne i posłuszne, nerwy nie dawały się ukoić i w końcu musiała się poddać. Nie ma sensu zaprzeczać, że perspektywa spotkania z doktorem Gardnerem wytrąciła ją z równowagi.

- Przestań się miotać! - skarciła ją Josie. - Czym ty się tak przejmujesz? Przecież to tylko zwykły facet.

- Dla mnie to żaden facet - obruszyła się Libby. - To jedynie osoba, z którą mam załatwić parę spraw.

- Skoro tak twierdzisz...

- Twierdzę.

- To dlaczego tak się denerwujesz?

- Wcale się nie denerwuję.

- Hej, dziewczyny! - zawołała Pearly, wynurzając się z zaplecza. - Moja klientka odwołała wizytę.

- W takim razie możesz iść do domu - przyzwoliła łaskawie szefowa.

- Dzięki, ale mam lepszy pomysł.

- Jaki? - spytała szybko Libby, instynktownie węsząc podstęp.

- Że zajmę się do twoimi włosami. Błagam, daj się namówić, podetnę tylko końcówki.

- Mój warkocz jest bardzo ładny.

- Naturalnie, jest przepiękny, dlatego tylko trochę go skrócę. To wyjdzie twoim włosom na zdrowie. Chyba nie powiesz, że mi nie ufasz?

- Ależ ufam - bąknęła Libby, kurczowo zaciskając palce na ukochanych splotach. - Jednak nie chcę się spóźnić na spotkanie, a przedtem muszę jeszcze wszystko pozamykać.

- A my nie możemy tego zrobić? Libby, siadaj, to potrwa sekundę.

- Zgódź się, Libby - poparta przyjaciółką Josie.

- Sama nie wiem...

Pearly, czując, że Libby zaczyna się wahać, przystąpiła do frontalnego ataku.

- Nie ociągaj się, kochanie, przecież wiesz, że jestem w tym dobra. A skoro idziesz na randkę, powinnaś dobrze wyglądać.

- Co ty wygadujesz? To nie randka, tylko spotkanie służbowe!

- Z kim Libby ma się spotkać? - spytała zaintrygowana pani Kane.

- Z tym nowym lekarzem z sąsiedztwa - wyjaśniła Josie, piłując zawzięcie paznokcie klientki.

- I, oczywiście, to żadna randka, tylko spotkanie służbowe - dokończyła dyplomatycznie Pearly. - Kochanie, siadaj, szkoda czasu.

Mycie trwało kilka minut. Po chwili Libby siedziała już przed lustrem, a Pearly chwyciła za nożyczki. Narzędzie zbrodni szczęknęło złowieszczo i nagle z ust siwowłosej stylistki wydobył się cichy jęk.

- Co się stało? - zawołała przestraszona Libby, wykręcając głowę, aby dojrzeć, jakiego spustoszenia dokonano na jej głowie.

- Nic, kochanie! Nie kręć się - zagruchała słodko Pearly. - Trochę za wysoko ciachnęłam i muszę teraz wyrównać.

- Przecież dopiero zaczęłaś.

- Siedź spokojnie, już poprawiam.

Dla Libby było jasne, że jej włosy wcale nieprzypadkowo zostały podcięte zbyt wysoko. Nie miała jednak wyboru i z rezygnacją poddała się dalszym zabiegom.

Ciach, ciach, ciach.

- Pearly, dlaczego to trwa tak długo?

- Bo jak coś robię, to porządnie. Siedź cicho i odpręż się, podobno nigdy nie masz na to czasu.

- To fakt. Dziś wieczorem też na pewno się nie zrelaksuję.

- Oczywiście. Spotkanie służbowe to nie relaks. Ciach, ciach, ciach.

- Szczególnie, jeśli jest to spotkanie z tak przystojnym facetem - wtrąciła Josie.

- Nie widziałam jeszcze nowego okulisty - oznajmiła pani Kane. - Naprawdę jest taki przystojny?

- Bardziej niż przystojny. Ciach, ciach, ciach.

- Pearly, to naprawdę trwa za długo - zaniepokoiła się Libby, znów energicznie kręcąc głową.

- A ja powiedziałam, że masz siedzieć spokojnie! Muszę trochę się natrudzić, bo inaczej będziesz na mnie wściekła.

- Mnie się bardzo podoba! - zakomunikowała radośnie Josie.

- Słyszysz? Nie ma się czym martwić, zaraz kończę.

Po kilku minutach Pearly odłożyła nożyczki i podsunęła drugie lustro, aby Libby mogła dokładnie obejrzeć efekt podcinania końcówek. Libby spojrzała i teraz to z jej ust wydobył się jęk, wyraz rozpacz i nieklamanej wściekłości.

- Pearly!

- Mówiłam ci, że ciachnęłam trochę za wysoko i musiałam wyrównać. Ale zobacz, wcale nie są takie krótkie, sięgają do ramion.

Libby, rzucając pod nosem kąśliwe uwagi na temat stylistek, które nie panują nad nożyczkami, studiowała w lustrze swój nowy wygląd. Nie było źle, ale wcale nie miała zamiaru tego przyznawać. A im dłużej patrzyła, tym bardziej była sobą zachwycona. Ciemne, falujące włosy, uwolnione z

warkocza, okalały jej twarz i miękko spływały na ramiona. Nie, nie ma co się oszukiwać. Wyglądała świetnie.

Przez jedną krótką chwilę Libby McGuinness poczuła się lekko i radośnie. Niestety, trwało to tylko moment, ponieważ w drzwiach pojawiła się znajoma męska sylwetka.

- Dzień dobry! - powitał wszystkich doktor Gardner. - Jest pani gotowa?

- Tak. Wezmę tylko płaszcz - powiedziała cicho Libby, idąc na zaplecze. Wróciła za chwilę, już w okryciu, i oficjalnym tonem zwróciła się do swoich pracownic:

- Wychodzę, a wy pamiętajcie, że jutro przychodzimy godzinę wcześniej.

Jej słowa wywołały solidarny protest:

- Dlaczego?!

- Jutro odbędzie się krótkie szkolenie na temat lojalności pracowników oraz prawidłowego posługiwania się nożyczkami - poinformowała sucho Libby. - Dokąd idziemy, panie doktorze?

- Może do mnie? - zaproponował. - Wynająłem mieszkanie niedaleko stąd, przy Lovell Place.

Libby spojrzała na niego z najwyższym zdumieniem. Spotkanie służbowe w prywatnym mieszkaniu?

- Myślałam, że pójdziemy do restauracji.

Nagle zadzwonił telefon i po chwili rozległo się wołanie Josie:

- Libby, poczekaj, dzwoni pani Henderson! Libby zbladła.

- Co się stało?! - krzyknęła, biegnąc do telefonu.

- Podobno Meg się potłukła.

Josh zauważył zmienioną, przerażoną twarz Libby natychmiast zapragnął przyjść jej z pomocą. Meg... Siostra? Jakaś bliska znajoma?

Tymczasem Libby zdenerwowanym głosem zadała kilka pytań i odłożywszy słuchawkę, natychmiast skierowała się do drzwi.

- Niestety, panie doktorze! - rzuciła przez ramię. - Muszę odwołać nasze spotkanie.

- A kto to jest Meg? - spytał odruchowo.

- Moja córka! - krzyknęła Libby już w drzwiach.

- Córka? - powtórzył Josh, czując jednocześnie na ramieniu czyjaś lekka, ciepła dłoń.

- Tak, mój chłopcze. Córka - potwierdziła śpiewnym głosem siwiejąca pani, patrząc na niego z nieskończone miłym, łagodnym uśmiechem. - I, niestety, Libby wychowuje ją samotnie.

- Przykro mi, ale...

- Niepotrzebnie, chłopcze.

- Przepraszam, panno...

Josh zawahał się, ale miła pani, wcale nie urażona, uśmiechnęła się do niego jeszcze bardziej promiennie.

- Wyczuleś mnie, mój drogi! Nie mam męża i nigdy nie miałam. Jestem Pearly Gates (Pearly Gates (ang.) - Brama Niebieska.). Kiedy przyszłam na świat, mojej matce, Panie świeć nad jej duszą, wydałam się prawdziwym darem niebios. Dała mi więc takie niebiańskie imię. W miarę upływu czasu zwykła mawiać, że diabeł też nie próżnował i dorzucił swoje trzy grosze, stąd mój trudny charakter. Często powtarzała też, że to przeze mnie tak wcześnie osiwiła. No, a teraz mamusia wyrównuje ze mną rachunki.

Pearly dotknęła swoich srebrzystych włosów i spojrzawszy na Josie, dokończyła z uśmiechem:

- Ten stojący obok rudzielec, który bez przerwy żuje gumę, to Josie.

- Cześć! - powiedziała dziarsko Josie, uśmiechając się zalotnie.

- Cześć! - odpowiedział grzecznie doktor Gardner. -
Dzięki za informacje o Libby, choć nie sądzę, by miały mi się przydać. Razem z Libby organizujemy świąteczne spotkanie członków klubu i ich rodzin. To wszystko.

- Wiemy, wiemy - potwierdziła Pearly tonem, który świadczył dobitnie, że nie wierzy ani jednemu słowu doktora, a doktor, sam nie wiedząc dlaczego, poczuł się w obowiązku udzielić dalszych wyjaśnień.

- Jestem świeżo po rozwodzie i nie mam zamiaru wiązać się teraz z żadną kobietą. Od Libby chciałbym tylko dwóch rzeczy: żeby współpracowała ze mną przy organizacji tego przyjęcia i żeby w końcu przestała mówić do mnie „panie doktorze”.

- Naturalnie, skoro tak twierdzisz, chłopcze - przytaknęła trochę zbyt skwapliwie Pearly.

- Tak to właśnie wszystko wygląda - odpowiedział twardym głosem doktor Gardner.

- Jasne - mruknęła Pearly.

- Libby nie interesuje mnie jako kobieta.

- Ja ci wierzę, chłopcze. A ty, Josie, wierzysz mu?

- Oczywiście!

- My tylko organizujemy razem to przyjęcie klubowe.

- Tak, tak - mruknęła znów Pearly, pilnie coś notując na karteczce.

- Miło, że w końcu udało się to ustalić.

- Tak - uśmiechnęła się uprzejmie Pearly, wręczając mu kartkę. - A ponieważ jesteś, chłopcze, lekarzem, zapewne będziesz chciał się przekonać, czy z Meg wszystko w porządku. Proszę, tu jest adres Libby.

- Jestem okulistą, a nie pediatrą - obruszył się Josh, nie zdradzając, że miał już okazję poznać adres pani McGuinness.

- Nie szkodzi. Może się zdarzyć, że jednak zechcesz wpaść do Libby. Proszę.

Josh posłusznie wyciągnął rękę po karteczkę i wsunął ją do kieszeni.

- Dziękuję, ale nie sądzę, żeby to miało sens.

Naturalnie, że to bez sensu, powtarzał sobie, nieustannie zbliżając się do ulicy, której nazwę zapisała mu Pearly. Po prostu zabłądził, przez te lata miasto zmieniło się nie do poznania i łatwo było stracić orientację. Nic dziwnego, że zamiast do Lovell Place dojeżdżał teraz do Wall Avenue. Pani McGuinness powinna raczej mieszkać przy ulicy Kolczastej... Po kilku minutach parkował już przed niewielkim domem. Budynek był szary, tak, chyba szary, choć równie dobrze mógłby być różowy czy też zielony, ale w listopadowym zmierzchu wszystko wydawało się pozbawione kolorów. Dyskusja z samym sobą na temat domu pani McGuinness zajęła Joshowi pięć minut, po upływie których doszedł do wniosku, że wpakował się w idiotyczną sytuację. Skoro jednak przyjechał, powinien zapukać do drzwi i zatroskanym głosem zapytać o stan zdrowia dziecka. Ostatecznie był przecież lekarzem.

- Nabiłaś sobie tylko małego guza! Nie wierzę, że to tak strasznie boli!

Ręce Libby fruwały jak szalone, ale Meg uparcie patrzyła w bok. Zniecierpliwiona Libby nachyliła się, ujęła twarz Meg w dłoń i zmusiła córkę, aby spojrzała jej prosto w oczy.

- Meg! Co się dzieje? - spytała bardzo powoli i wyraźnie.

Ręce Meg nareszcie ożyły.

- Chciałam koniecznie zobaczyć, z kim umówiłaś się na randkę! A ty go nie przywiozłaś!

No tak, jeszcze jedna ciekawska! Mabel knuje intrygę. Pearly i Josie przejęte, jakby Libby wybierała się na bal. A teraz jeszcze Meg! Czy one nie są w stanie pojąć, że nie każde spotkanie z mężczyzną prowadzi do romansu?

- Meg! To wcale nie miała być randka, tylko spotkanie w sprawie organizacji przyjęcia klubowego.

- Oczywiście! - Rączki Meg i wyraz jej twarzy doskonale oddawały ironię. - Najpierw dostałaś kwiaty i bilecik, a potem obcięłaś włosy. I to wszystko na przyjęcie klubowe?

- Nie chciałam zmieniać fryzury. Pearly miała mi podciąć tylko końcówki, ale trochę przesadziła i musiała wyrównać.

Meg uśmiechnęła się z niedowierzaniem i zabawnie wywróciła oczami.

- Tak było, kochanie, naprawdę. A to spotkanie, powtarzam, to żadna randka, zresztą odwołałam je po telefonie od pani Henderson. Może i lepiej, że tak się stało. Ten facet mnie wkurza, a Mabel uparła się, żebym razem z nim zorganizowała przyjęcie dla członków naszego klubu. Bzdura. Przecież to oferta, nie umie nawet porządnie zaparkować.

- Przecież ty też nie umiesz!

Meg natychmiast zaczęła odgrywać swoją ulubioną pantomimę, jak to mamusia parkuje samochód. Libby, troszkę zła, chwyciła córkę za rękę.

- Uważaj, panienko, bo skończy się kłótnią!

Meg wyrwała się i spojrzała z powagą na matkę.

- Mamo, dlaczego nie chciałaś, żeby mnie zobaczył? Czy ty się mnie wstydzisz?

Libby zbladła i natychmiast uniosła dłonie.

- Meg, zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nie wolno ci nawet tak pomyśleć! Kocham cię i jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. A umówiłam się na dzisiaj, ponieważ ty miałaś spędzić cały wieczór z Jackie. Było tak, prawda?

Dziewczynka, bardzo skruszona, skinęła główką.

- No, widzisz. A jeśli ci na tym zależy, to podczas następnego spotkania przedstawię ci doktora Gardnera. Zgoda?

- Na pewno mu się nie spodobam.

- Meg!

Libby poczuła ukłucie w sercu. Wszyscy mężczyźni, z którymi zdarzyło jej się umówić, w towarzystwie Meg czuli się skrępowani. Wrażliwej dziewczynce sprawiało to wielką przykrość, a dla Libby oznaczało koniec znajomości. Nie zdążyła jednak ani przytulić córki, ani dodać jej otuchy, ponieważ zadzwonił dzwonek, światła zamigotały i Meg popędziła do drzwi. Libby natychmiast pobiegła za nią. Kiedy wpadła do holu, drzwi, jak zwykle, były już otwarte, a w progu stał mężczyzna. Wysoki, przystojny i promiennie uśmiechnięty.

- Słucham pana?

Szorstkie słowa przywitania nie zgasiły uśmiechu na twarzy Josha.

- Przepraszam, ale pomyślałem sobie, że możemy przecież porozmawiać u pani. Przy okazji mógłbym sprawdzić, co z pani córką - wyjaśnił i spojrzał ciepło na dziewczynkę: - Cześć! Jestem Josh.

Meg odwróciła się na pięcie i jak strzała pobiegła przez hol. Huknęły drzwi i Libby nagle pozazdrościła córce, której wiek usprawiedliwiał takie niegrzeczne zachowanie. Ona też najchętniej uciekłaby do swojego pokoju, zamykając nieproszonemu gościowi drzwi przed nosem.

- Coś mi się wydaje, że żadna z pań McGuinness nie jest zadowolona z mojej wizyty - stwierdził Josh melancholijnie.

- A mnie się wydaje, że mimo to ma pan ochotę wejść - powiedziała Libby w najmniej sympatyczny sposób, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Sam już nie wiem - przyznał szczerze doktor. - W każdym razie bardzo panią przepraszam, że panią nachodzę, ale ja naprawdę pomyślałem, że jako lekarz będę mógł się na coś przydać.

- Chce pan wyrzeć dobre wrażenie? Chyba nie będzie to łatwe, bo ja już wyrobiłam sobie zdanie na pana temat - stwierdziła Libby obcesowo. Po chwili jednak wzięła się w garść, otworzyła szeroko drzwi i wysiliła się na zdawkowy uśmiech: - Bardzo proszę!

- Czy z małą naprawdę wszystko w porządku? - spytał Josh, wchodząc do holu.

- O, tak!

Libby wzruszyła ramionami i ruszyła do kuchni. Josh szedł potulnie za nią, a ona pomyślała, że chyba oszaleje, jeśli natychmiast nie napije się gorącej herbaty. Przed spotkaniem z doktorem przeżywała katusze. Potem Pearly podstępnie pozbawiła ją ukochanego warkocza. Potem ta chwila okropnego strachu, kiedy zadzwoniła pani Henderson. A na zakończenie jeszcze jedna atrakcja - wizyta doktora Gardnera. Boże, co za dzień!

- Ten telefon to był podstęp - wyjaśniła. - Meg nie chciała, żebym umawiała się z panem, chociaż tłumaczyłam jej, że to spotkanie służbowe.

- No tak, nikt mnie tu nie lubi.

Zabrzmiało to bardzo smutno i Libby, sama nie wiedząc dlaczego, postanowiła zdobyć się na szczerłość.

- Panie doktorze! Nasza znajomość zaczęła się dość burzliwie i choć próbowałam przejść nad tym do porządku dziennego, jednak...

- Jednak co?

- Jestem zdenerwowana, bo to wszystko jest trochę,.. nie tak.

- Nie rozumiem.

- Pan, oczywiście, o niczym nie wie, ale chyba nie ma sensu dalej tego ukrywać. Rzecz w tym, że nasza współpraca została celowo zaaranżowana. I nie chodzi wyłącznie o zorganizowanie przyjęcia świątecznego.

- Teraz już zupełnie nie rozumiem.

- Mabel ubzdurzyła sobie, że... zrobi z nas parę.

- Z nas?

- No właśnie.

- W takim razie jeszcze raz powinienem panią przeprosić.

- Za co? Za to, że nasza pani prezes upatruje w panu idealnego kandydata na mojego życiowego partnera?

Weszli do kuchni. Libby, wskazawszy gościowi krzesło, zajęła się parzeniem herbaty. Josh usadowił się wygodnie za stołem i sprawiał wrażenie, jakby w tej niewielkiej kuchni czuł się bardzo swojsko.

- To raczej ja powinnam przeprosić. Przeze mnie został pan wplątany w kłopotliwą sytuację. A wszystko dlatego, że mnóstwo dobrych ludzi chce, aby jakiś mężczyzna wziął mnie pod swoje skrzydła. Mnie i Meg. Czasami wydaje mi się, że leży to na sercu przynajmniej połowie miasta.

- Faktycznie, to musi być trochę męczące.

- Niezwykłe! A najgorzej jest, kiedy ci dobrzy ludzie zaczynają coś knuć, jak na przykład teraz. Dlatego zależało mi na tym, aby pan poznał prawdę. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy chcą mojego dobra, ale czuję się dość niezręcznie. Powinien pan wiedzieć, co jest grane. I jeśli zechce się pan wycofać, uznam to za przejaw... zdrowego rozsądku.

Libby z całej siły starała się ukryć swą niechęć do współpracy z doktorem. I chyba udało jej się, gdyż Josh zaproponował:

- A co by pani powiedziała, gdybyśmy jednak podjęli się tej współpracy? W sumie, co nas obchodzą pomysły jakichś pań? Spróbujmy zorganizować świetne przyjęcie. Poza tym,

jeśli spędzimy razem trochę czasu, może uda się pani zapomnieć o naszej kłótni?

- Nie musi pan być raptem taki sympatyczny! - zachnęła się Libby.

- Nie muszę, ale taki już jestem. Nie kłamałem, mówiąc, że sporo osób uważa mnie za całkiem miłego faceta. Proponuję, żebyśmy przestali analizować mój charakter i po prostu wzięli się do roboty.

Libby uznała, że to dobry pomysł. Wzięła kilka głębokich oddechów, by się uspokoić. Nie ma powodów, by drzeć koty z Joshem. Właściwie był dość sympatyczny... Libby uśmiechnęła się leciutko.

- Napije się pan herbaty? A może woli pan sok albo wodę mineralną?

- Poproszę herbatę.

- Kiedy jechałam do domu, zamówiłam pizzę. Zje pan z nami?

- Dziękuję, to brzmi zachęcająco. Może jednak powinienem najpierw obejrzeć Meg?

- Naprawdę nie ma potrzeby. Meg dołączy do nas, kiedy poprawi się jej humor.

- Rozumiem. A więc, do dzieła! Podobno Mabel przekazała pani jakąś listę?

Pół godziny później zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Dlaczego to światło tak mruga? - zdziwił się Josh. - Może sprawdzę instalację?

- To specjalnie, dla Meg! - odkrzyknęła Libby, biegnąc do drzwi. Za chwilę była już z powrotem i stawiając na środku stołu pudło z pizzą, oznajmiła wesoło:

- Kolacja przyjechała. Pójdę po Meg.

Josh odprowadził ją wzrokiem. Musiał przyznać, że ostatnie pół godziny upłynęło w bardzo miłej atmosferze. Czuł się dobrze w przytulnej kuchni o żółtych ścianach, o wiele

lepiej niż w zimnym, sterylnym domu, w którym mieszkał razem z Lynn. Poza tym Libby McGuinness, kiedy przestawała kąsać, przeistaczała się w całkiem miłą kobietę.

W całym domu panowała cisza, słychać było tylko tykanie zegara i szum lodówki. Drzwi jednego z pokoi otworzyły się i Josh zobaczył Libby i Meg. Szły szybko przez hol, żywo gestykułując. Libby śmiała się, zapewne z tego, co przed chwilą powiedziała Meg. Powiedziała, nie wymawiając ani jednego słowa. Josh pojął od razu. Dziewczynka jest głucha i rozmawia z matką w języku migowym.

- Panie doktorze, to moja córeczka, Meg.

Dziewczynka spojrzała na doktora z wyraźną niechęcią i Josh poczuł się nieswojo. Uśmiechnął się więc ostrożnie i podniósł rękę w powitalnym geście.

- Proszę powiedzieć Meg, że mówię jej „cześć”. Libby przetłumaczyła, a Meg w odpowiedzi poczęstowała Josha następnym niechętnym spojrzeniem.

- Proszę, siadajmy do kolacji - zarządziła Libby. Podczas kolacji zręcznie prowadziła rozmowę i z Joshem i z Meg, tłumacząc dziewczynce każde słowo, jakie padło przy stole. Dziewczynka na początku nie chciała włączyć się do rozmowy, powoli jednak jej ręce ożyły.

- Na matematyce zaczęliśmy jakieś głupie rzeczy. Równania.

- Równania? Już? - zdziwiła się Libby. - Ja na pewno przerabiałam to znacznie później.

- Zupełnie tego nie rozumiem.

- Potem się tym zajmiemy, chociaż wiesz, że ja nigdy nie byłam dobra z matematyki.

- To może ja? - spytał nagle Josh.

- Słucham?

- Czy mogłaby pani powiedzieć Meg, że ja nieźle radzę sobie z liczbami i chętnie jej pomogę?

Libby spojrzała na Josha sceptycznie, jednak posłusznie przetłumaczyła. Dziewczynka zawahała się, najwyraźniej tocząc wewnętrzną walkę. Po chwili namysłu skinęła głową.

- Naprawdę chce pan jej pomóc? - spytała Libby.

- Naturalnie, a pani spokojnie pozmywa po kolacji.

- Nie będę potrzebna jako tłumacz?

- Myślę, że wystarczy kartka papieru i długopis. Proszę się nie martwić, damy sobie z Meg radę.

- A więc dobrze - zgodziła się Libby, choć z tonu jej głosu można było wywnioskować, że nie pozbyła się wszystkich wątpliwości.

Meg wstała od stołu i poszła do swojego pokoju, Josh ruszył za nią. Zauważył zdenerwowanie Libby, lecz zupełnie nie rozumiał jej reakcji. Czyżby obawiała się, że on nie będzie w stanie porozumieć się z głuchą dziewczynką? Oczywiście, Meg trochę różni się od innych dzieci, nic zatem dziwnego, że w pierwszej chwili czuł się nieco skrępowany, a przede wszystkim zaskoczony. A może po tym incydencie na parkingu Libby nadal uważała go za nieokrzesanego narwańca?

Meg ostrożnie pociągnęła Josha za rękaw koszuli i wskazała ręką na otwartą książkę, leżącą na biurku. Wziął książkę i przysiadł na brzegu łóżka. Po chwili Meg nieśmiało podsunęła mu kartkę z nierozwiązanym zadaniem matematycznym.

- Nie dodałaś wszystkiego - powiedział odruchowo Josh, natychmiast jednak zreflektował się i pokazał dziewczynce na migi, że prosi o coś do pisania. Meg podskoczyła do biurka, wzięła długopis i wręczyła Joshowi, potem też przysiadła na brzegu łóżka. Jak najdalej od tego nieznajomego pana. Josh wziął długopis i napisał: Meg! Nie dodałaś pięciu, trzeba dodać liczby z obu stron. Pokażą ci.

Meg przysunęła się trochę bliżej. Josh rozwiązał całe równanie i napisał: Rozumiesz? Gdy Meg skinęła głową, Josh podał jej książkę i pokazał następne równanie. Meg wzięła się do roboty. Radziła sobie świetnie. Wystarczył jeden przykład, by pojęła, o co chodzi. Skończyła zadanie i spojrzała na Josha. Zadowolony uśmiechnął się i pokiwał głową. Resztę zadań Meg rozwiązała błyskawicznie napisała na kartce: Dziękuję!. Josh odpisał: Cieszę się, że mogłem ci pomóc, po czym wstał i chciał wyjść z pokoju, ale Meg znów pociągnęła go za rękaw i szybko napisała na kartce: Czy pan gra w gry wideo? Josh uśmiechnął się i skinął głową. Dziewczynka natychmiast włączyła konsolę.

Po półgodzinie do pokoju, z którego dobiegały głośne wybuchy śmiechu i odgłosy strzałów, zajrzała zaintrygowana Libby. Otworzyła drzwi w chwili, gdy Josh z Meg, położywszy trupem kolejnego androida, ściskali sobie dłonie. Boże, a ona miała obawy, że Josh nie potrafi porozumieć się z Meg! Stała na progu i patrząc na małą figurkę u boku rosłego mężczyzny, pomyślała po raz kolejny, jak bardzo Meg brakuje ojca. Mitch odszedł od nich tak dawno. Dlaczego nie został? Dlaczego nie chciał się przekonać, że jego głucha córeczka wyrośnie na najnormalniejszą w świecie dziewczynkę, która uwielbia się śmiać, kocha gry wideo i ma kłopoty z matematyką?

Josh, wyczuwając jej obecność, odwrócił się i zażartował:

- Czuję, że w kuchni już wszystko lśni.
- Ktoś uczciwie pracował, kiedy wy nieśliście światu zagładę - odpowiedziała równie wesoło Libby, pilnie tłumacząc córeczce każde słowo.
- O, przepraszam! My ratujemy ludzkość!
- Aha! A czy udało wam się również pokonać zadania z matematyki?

- Co do jednego, panie generale - zameldował Josh, zabawnie salutując i mała Meg znów zaniósła się niepohamowanym śmiechem.

- Czyli rozkaz wykonany. Świetnie! W takim razie szeregowiec Meg może kłaść się spać, a my wracamy do naszej narady.

- Pani McGuinness - spytał nagle półgłosem Josh. - Jak powiedzieć Meg „Dobranoc” i „Dziękuję za wspólną grę”? To ważne.

Libby powoli zademonstrowała Joshowi odpowiednie znaki.

- W języku migowym nie trzeba pokazywać wszystkich stów, ten język ma swoją specyficzną składnię.

Josh, patrząc na Meg, starannie powtórzył dłońmi wszystkie znaki. Zachwycona dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

Libby i Josh wrócili do kuchni. Sadowiąc się za stołem, Josh spojrział na Libby i powiedział miękko:

- To naprawdę wspaniałe dziecko.

- Ja też tak myślę - odparła Libby, nie kryjąc dumy.

- Czy mała ma problemy ze słuchem od urodzenia?

Spokojne, rzeczowe pytanie Josha zdziwiło Libby. Na ogół ludzie nie dopytywali się o nic, prawdopodobnie obawiając się, że popełnią jakiś nietakt.

- Meg jest wcześniakiem, jej stan był krytyczny. Nikt niczego nie podejrzewał, dopiero kiedy miała osiem miesięcy, pewne jej zachowania zaczęły budzić mój niepokój. I wtedy lekarz postawił diagnozę - głos Libby zadrzał, opanowała się jednak i ciągnęła dalej - Przyczyny są nieznane. W mojej rodzinie nigdy nie było przypadków głuchoty. Tak samo jak w rodzinie ojca Meg. Być może, kiedy lekarze walczyli o jej życie, został porażony nerw słuchowy. Tak, może właśnie taką

cenę przyszło zapłacić mojej małej Meg. Musiałam pogodzić się z tym wyrokiem i nauczyć się z tym żyć.

- To znaczy?

- Na początku byłam zrozpaczona, miałam żal do Pana Boga, że dał mi dziecko, które nie jest tak doskonałe, jak to sobie wymarzyłam. A potem poczułam wstyd, że w ogóle mogłam tak pomyśleć. Przecież to moje dziecko, na które czekałam, które kocham i które zawsze będzie moim szczęściem.

Libby zamilkła, zdając sobie sprawę, jak bardzo otwiera się przed tym prawie obcym człowiekiem

- No i?

- Wiedziałam, że muszę robić trochę więcej niż inne matki. Przede wszystkim nauczyłam się języka migowego, potem wyszukałam ludzi i placówki, które pomagają takim właśnie dzieciom. No i jakoś ułożyłam sobie życie.

- Nie jest pani łatwo.

- Mnie? Przede wszystkim Meg - powiedziała smutno Libby i nagle zmieniła temat: - Jutro dowiem się, czy będzie można wynająć salę bankietową u Świętego Gerta.

- Świetnie. No to co? Chyba na dziś wystarczy.

- Chyba tak.

Josh zebrał papiery ze stołu i wstał.

- A więc odmeldowuję się. Dzięki za pizzę.

- To moja specjalność - roześmiała się Libby. - Panie doktorze, myślę, że rzeczywiście moglibyśmy...

- Przejść na „ty”? Bardzo mi miło, Libby.

- Mnie też. Josh, chciałam ci bardzo podziękować.

- Przecież... przecież zostałem wyznaczony do organizacji tego przyjęcia, tak samo jak ty. Mabel i cały klub powinien całować nas po rękach.

- Owszem! - roześmiała się Libby. - Ale ja chciałam podziękować ci za Meg.

- Drobiazg. Powiedziałem, że nieźle radzę sobie z liczbami.

- Josh, dziękuję ci za to, że traktujesz ją jak normalne dziecko.

- A czy tak nie jest? Czy Meg ma jakiś problem?

Libby znów poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. Josh spytał o problem, jakby Meg była zupełnie zdrową dziewczynką. Tak, chyba rzeczywiście Josh jest miłym i dobrym człowiekiem.

- Oczywiście, że nie - powiedziała cicho. - Meg marzy, by traktowano ją jak zwyczajne dziecko. To bardzo ważne i dla niej, i dla mnie, ale większość ludzi tego nie rozumie. Ty nie miałeś z tym problemu. Jeszcze raz dziękuję ci, Josh. Meg bardzo cię polubiła.

- Choć na początku nie odnosiła się do mnie z entuzjazmem?

- Tak.

- A jej mama? - Josh uśmiechnął się i zrobił krok w kierunku Libby. - Co myśli o mnie mama Meg?

Libby natychmiast zrobiła krok do tyłu.

- Myślę, że mama Meg też cię... polubiła.

- Choć na początku również ona nie odnosiła się do mnie z entuzjazmem?

- No dobrze, niech ci będzie. Twoje umiejętności w zakresie parkowania pozostawiają wiele do życzenia, ale posiadasz inne zalety.

- Dzięki za dobre słowo. A więc dobranoc, Libby.

- Dobranoc.

Josh włożył płaszcz, uśmiechnął się i trochę niezdarnie powtórzył słowa pożegnania w języku migowym.

- Następnym razem nauczysz mnie, jak pokazywać moje imię.

- Dobrze - obiecała Libby. - Dobranoc.

Stała w drzwiach i dość smętnym wzrokiem odprowadzała znikającego za rogiem zielonego vana. Szkoda, że kiedy zorganizują już to przyjęcie, nie będzie miała okazji spotykać się z Joshem. Bo ten doktorek, choć potrafi nieźle dopiec, jest w sumie naprawdę sympatycznym facetem.

Nagle poczuła, jak mała rączka delikatnie szarpie ją za rękaw.

- Pojechał?

- Tak.

Libby zrobiło się głupio, że patrzy za Joshem jak zakochana nastolatka. Zamknęła szybko drzwi i odwróciła się do córki.

- Umyłaś zęby? Meg skinęła głową.

- Pastą czy samą wodą?

Meg jak strzała pobiegła do łazienki, a Libby zaśmiała się. Meg chciała troszkę oszukać z myciem zębów. No i czy nie jest to najnormalniejsze dziecko na świecie?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Powrotna jazda nie należała do najłatwiejszych. Miejscami jezdnię pokrywała cieniutka warstwa lodu i Josh, bojąc się wpaść w poślizg, poruszał się w żółtym tempie. Musiał być ostrożny. Jak Libby McGuinness! O tak, ta dama jest mistrzynią ostrożności. Ciekawe, czy nie ufa nikomu, czy tylko mężczyznom? Może miała przykre doświadczenia z ojcem Meg? Nie wspomniała o nim ani słowem. Chociaż pod koniec wspólnego wieczoru zdobyła się na kilka szczerych, bardziej osobistych uwag. Prawdopodobnie dlatego, że ich wspólna narada upłynęła w bardzo miłej atmosferze. Śmiali się i żartowali, a jednocześnie pracowało się im wspaniale. Zupełnie inaczej niż z Lynn, która niby była obok, a jednak zawsze osobno. I chyba dlatego nigdy nie stworzyli prawdziwej rodziny. Żyli pod jednym dachem jak dwoje obcych ludzi, bardzo uprzejmych wobec siebie i całkowicie pochłoniętych pracą. Libby była inna niż Lynn. To śliczna, mądra kobieta z krwi i kości. Potrafi porządnie wygarnąć, ale umie też być miła i otwarta.

Rozmyślając o swoim nieudanym małżeństwie i o błękitnookiej właścicielce salonu piękności, Josh uświadomił sobie, że coraz częściej rozważa sprawy, o których postanowił zapomnieć. Nie życzył sobie żadnych komplikacji w sferze uczuć, postanowił nawet, że na jakiś czas da sobie spokój z kobietami. Oczywiście, nie zamierzał żyć jak pustelnik, przewidywał jakieś wyjścia do kina albo do restauracji, i to niekonieczne samotne. Pod warunkiem, że będzie to tylko zwykła, banalna randka. Miłe spotkanie bez żadnych zobowiązań. Mógłby nawet zaprosić panią McGuinness. Czy ona jednak jest typem kobiety, którą można zaprosić na taką randkę? Raczej nie. A nawet stanowczo nie. Urodziwa Libby podchodziła do życia bardzo serio, Josh był tego absolutnie pewien. Trudno! Skoro on chwilowo nie zamierza angażować

się uczuciowo, powinien natychmiast przestać myśleć o jej oczach i uśmiechu. Zapomnieć, że kiedy udało mu się przebić przez ten jej ochronny pancerz, odkrył zupełnie inną kobietę. Kobietę o gorącym, wrażliwym sercu, dzielną i jednocześnie bardzo bezbronną. A ponadto - nadzwyczaj pociągającą. Kobietę, która mogła wiele zaoferować mężczyźnie... ale nie Joshowi, gdyż on nie pragnął stałych związków. Spotkania, zgodnie zresztą z sugestią samej Libby, należy ograniczyć do minimum i wyłącznie do spraw związanych z organizacją przyjęcia. Tak będzie najlepiej. Dla ich wspólnego dobra.

Libby była przekonana, że Josh zadzwoni. Tymczasem doktorek nie odzywał się, co w sumie można uznać za sprzyjającą okoliczność. Nalot klientek przed Świętem Dziękczynienia już się zaczął, Libby, Pearly i Josie zwijały się jak w ukropie, a czekała je przecież jeszcze druga fala, przed Świętami Bożego Narodzenia. Milczenie Josha pozwalało zatem skupić się na pracy. Im rzadziej będą się spotykać, tym lepiej. Na szczęście Libby udało się już wynająć salę u Świętego Gerta. Josh obiecał znaleźć jakąś firmę cateringową. Właściwie to mógłby się odezwać i poinformować, czy udało mu się już coś załatwić. Nie, nie zamierzała do niego dzwonić...

Słuchawka znów powędrowała na widełki, a Libby uświadomiła sobie, że jej rozterka jest po prostu śmieszna. Zachowywała się jak nastolatka, która zastanawia się, czy wypada zadzwonić do chłopaka, na którym jej zależy. Tymczasem przecież czas młodszych wzruszeń miała już dawno za sobą i stać ją chyba na to, aby szybko i sprawnie wykonać telefon w bardzo konkretnej sprawie. Bez popadania w głupie rozterki...

Libby zdecydowanym ruchem chwyciła za słuchawkę i szybko wykrciła numer służbowy Josha.

- Gabinet okulistyczny doktora Gardnera, słucham, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry! Mówi Libby McGuinness, z sąsiedztwa. Czy mogłabym zostawić wiadomość dla pana doktora Gardnera?

- Chwileczkę.

Łączenie trwało dobrą chwilę i Libby miała czas zastanowić się, czy Josh sam wybrał tę przyjemną melodyjkę w stylu country. Chyba jednak maczała w tym palce jego sekretarka. Skoczne dźwięki nie pasowały do doktora, on wybrałby na pewno coś poważniejszego, klasycznego. Libby słuchała muzyczki i czekała cierpliwie, co nie znaczy, że zupełnie spokojnie. Czekala tylko dlatego, że podała swoje nazwisko, zamierzając zostawić wiadomość, a ta nadgorliwa dziewczyna natychmiast zaczęła ją łączyć z doktorem.

- Słucham, Gardner.

- Josh? Tu Libby. Chciałam tylko zostawić wiadomość, ale twoja sekretarka przełączyła mnie do ciebie. Załatwiłam salę u Świętego Gerta.

- Świetnie! Ja też miałem do ciebie dzwonić. Znalazłem firmę cateringową.

- A więc najważniejsze mamy z głowy.

- Tak, ale parę rzeczy trzeba jeszcze omówić.

- Co proponujesz?

- Może wpadnę do ciebie? Na przykład jutro wieczorem, po pracy?

Myśl, że Joshua Gardner znów zawita do jej domu i wypełni swoją osobą wszystkie zakamarki, wstrząsnęła nieco Libby. jednak rozsądek podpowiedział, że jest to najlepsze rozwiązanie. Nie będzie musiała wychodzić z domu, odpadnie więc poszukiwanie życzliwej osoby, która posiedziałyby z Meg Poza tym może uda się załatwić resztę spraw i skończy się ta cała kłopotliwa kołomyja z doktorem Gardnerem

- Zgoda.
- Świetnie, a więc będę koło siódmej.
- Dobrze.

Doktor Gardner dawno się pożegnał, ale Libby dalej stała przy telefonie, ze słuchawką przy uchu. Słuchała jednostajnego sygnału, dziwiąc się, że nagle poczuła się zupełnie inaczej niż w ciągu ostatnich paru dni. Raptem świat wydał jej się o wiele piękniejszy. Czy dlatego, że jutrzejszy wieczór miała spędzić z Joshem?

Jednak następnego dnia dobry humor znikł, kiedy Libby wyobraziła sobie zachwyt Josie, Pearly i Mabel na wieść o jej kolejnym spotkaniu z doktorem. Przecież dla nich to następny krok do celu, jasnego jak słońce: wepchnąć Libby w ramiona Gardnera. Dowód? Proszę bardzo! Dziwnym zbiegiem okoliczności tego właśnie dnia trzy damy wybierały się po pracy po zakupy świąteczne i nie wyobrażały sobie, że mogłyby biegać po sklepach bez małej Meg. No tak, uwzięły się. Trzeba jednak przyznać, że Josh to bardzo atrakcyjny mężczyzna, choć może trochę zbyt pedantyczny i ugrzeczniiony. Nie ma to jednak żadnego znaczenia. W chwili obecnej Libby nie zamierzała wiązać się z żadnym facetem, nawet najbardziej przystojnym i czarującym. Była odporna na męski urok. Jej życie było po brzegi wypełnione obowiązkami i nie znalazłaby w nim już miejsca dla żadnego mężczyzny.

Aby podkreślić służbowy charakter spotkania, a przy okazji i swoją niezależność, Libby z rozmysłem włożyła dzinsy z wystrzępionymi nogawkami i spraną bluzę. Owszem, dość długo stała przed lustrem, sprawdzając, jak prezentuje się jej nowa fryzura. I było to całkiem na miejscu. Ubrała się bardzo zwyczajnie, ale zależało jej, żeby wyglądać porządnie. Na dźwięk dzwonka drgnęła nerwowo. Również bardzo naturalna reakcja, przecież Josh przyszedł za wcześnie. O całe pięć minut. Dlatego też powitała go trochę cierpko:

- Zjawiłeś się przed czasem.

- Zapowiadali zamieć - wyjaśnił Josh, strzepując z płaszcza pierwsze płatki śniegu. - Wyjechałem parę minut wcześniej, żeby się nie spóźnić. Na razie nie jest jeszcze tak źle.

- Może i nie będzie tej zamieci - powiedziała z nadzieją w głosie Libby, której wcale nie uśmiechało się odśnieżanie chodnika. - Pogoda w Erie często wcale nie ma zamiaru stosować się do prognozy!

- Wiem, przecież tu się wychowałem.

Libby zdała sobie sprawę, że gapi się na śnieg i nie wpuszcza swego gościa do środka. Szybko otworzyła szerzej drzwi i uśmiechnęła się miło:

- Josh, zapraszam!

Wytarł starannie buty o słomiankę i wszedł do holu. Zdejmując płaszczyk, zsunął jednocześnie adidas z nóg.

- Powinieneś kupić sobie jakieś porządne buty na zimę - powiedziała odruchowo, kiedy wchodzili do kuchni, - Adidasy zaraz ci przemokną.

- Wedle rozkazu!

Libby poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Przepraszam, ja często nie mogę powstrzymać się od takich macierzyńskich reakcji.

- Dlaczego przepraszasz? - uśmiechnął się Josh, sadowiac się za stołem na tym samym miejscu, co poprzednio. - Miło wiedzieć, że ktoś się o ciebie troszczy.

- Ja... - Libby zamierzała wyjaśnić, że wcale się o niego nie troszczy. Na szczęście, tym razem zdołała ugryźć się w język. - Jak wiesz, dzwoniłam do Świętego Gerta, zgodzili się wynająć nam salę na cały przedświąteczny weekend. Będzie więc można wszystko spokojnie przygotować.

- Świetnie.

- Napijesz się kawy?

- Bardzo chętnie.

Siedzieli za stołem, pili kawę i omawiali resztę spraw. I znów, jak poprzednim razem, zrobiło się bardzo miło. Po półgodzinie wydawało się, że wszystko jest już zapięte na ostatni guzik i Libby zaczęła składać swoje papiery.

- Uff, ale ty masz tempo, Libby.

- Życie mnie tego nauczyło - powiedziała wesoło.

- Chyba omówiliśmy wszystko, prawda?

- Zapomnieliśmy o jednej rzeczy.

- O czym?

- O zakupach.

- Ojej, rzeczywiście! Gdzie jest ta lista od Mabel?

- Libby gorączkowo wertowała swoje papiery. - Już mam.

No, ulżyło mi.

- Może umówimy się na piątek? - zaproponował Josh. -

Dzień po Święcie Dziękczynienia jest bardzo dobry na zakupy, tak samo jak Wigilia.

- Przecież mogę to zrobić sama - zaproponowała Libby. -

Co roku w piątek, po Święcie Dziękczynienia, robimy z Meg rundkę po sklepach.

- Nie możecie mnie wziąć ze sobą? - spytał nieśmiało Josh.

- Ciebie? - zdziwiła się Libby. - Decydujesz się poświęcić swój wolny czas na bieganie po sklepach z dwoma kobietami?

- Czemu nie? Mam mnóstwo wolnego czasu. Sprowadziłem się bardzo niedawno, nie mam tu jeszcze zbyt wielu znajomych.

- No tak - bąknęła Libby, gorączkowo usiłując znaleźć jakiś powód, uniemożliwiający wspólne zakupy. Niestety, nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

- Wpadnę po was rano - zaproponował Josh. - Może o jedenastej?

- Może być - mruknęła Libby.

- Nie jesteś tym zachwycona - stwierdził smętnie Josh i zebrawszy swoje papiery, wstał z krzesła.

- Przepraszam - mruknęła znów Libby, wściekła, że już zaczyna się denerwować kolejnym spotkaniem z doktorem Gardnerem. A ponadto doktor Gardner spojrzał na nią dziwnie i wyraźnie zmierzał w jej kierunku.

- Czy ten brak entuzjazmu to z powodu mojej skromnej osoby?

- Ależ skąd - zaprotestowała słabym głosem Libby, cofając się możliwie jak najdalej, dopóki nie trafiła plecami w blat kuchenny. - Nie wiem, o co ci chodzi, Josh.

Matko Święta, czy ten zadyszany głos naprawdę wydobywa się z jej krtani?

- Chyba się nie myję - powiedział cicho Josh, zatrzymując się zaledwie o krok od Libby. Patrzył na nią przez chwilę, a potem powoli uniósł dłoń i delikatnie dotknął jej policzka. - Wiesz, kiedy tak siedzieliśmy razem, zastanawiałem się...

- Nad czym? - szepnęła prawie niedosłyszalnie, czując, że nie chce, aby przestał dotykać jej policzka.

- Co by było, gdyby...

Jego usta dotknęły jej ust bardzo delikatnie, jakby pytając o zgodę. Potem pocałował ją i trwało to nieskończenie długo, tak przynajmniej wydawało się Libby, która zapomniała już, kiedy po raz ostatni do tego stopnia zapomniała o całym świecie. A kiedy wróciła jej świadomość, natychmiast w głowie aż zaroilo się od racjonalnych powodów, dla których nie powinna całować się z doktorem Gardnerem.

- Josh... nigdy więcej - wykrztusiła, lecz wcale nie zabrzmiało to przekonująco.

- Dlaczego? Przecież oboje jesteśmy dorośli i wolni. A co najważniejsze, oboje tego chcemy.

- Ale ja naprawdę nie szukam nikogo.

- Kto od czasu do czasu pocałowałby cię? - dokończył Josh, odsuwając się od niej i starając ze wszystkich sił, aby jego głos zabrzmiał jak najbardziej obojętnie. Udało mu się nawet uśmiechnąć - Nie martw się, Libby. To był tylko taki przyjacielski pocałunek, który można w każdej chwili przerwać

- A więc przerwałam - przypomniała skwapliwie Libby, nie patrząc na Josha

- Ale nie od razu - powiedział cicho, usiłując ukryć prawdziwe uczucia. Bo zanim Libby wysunęła się z jego objęć, odkrył, jak bardzo ta kobieta pobudza jego zmysły.

- Zaskoczyłeś mnie - stwierdziła Libby już mocniejszym głosem

- A jednak odpowiedziałas na mój pocałunek.

- Naprawdę? Być może. To było takie chwilowe zapomnienie. Ale to się więcej nie powtórzy.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie

- W porządku

Tak, w porządku. Niech Libby uważa ich pocałunek za chwilowe zapomnienie, Josh i tak wiedział swoje. Nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

- Czy to jasne? - spytała Libby, jakby przejrzała go na wylot.

Wszystko, co Josh mógł zrobić, to skinąć posłusznie głową i wycofać się. Wolał nie dotykać teraz Libby, bo pewnie nie skończyłoby się na jednym pocałunku. A na to jeszcze za wcześnie.

- Libby, ja... nigdy nikogo do niczego nie zmuszam.

- To dobrze - powiedziała z wyraźną ulgą. Josh uśmiechnął się i ruszył ku drzwiom.

- Już idziesz? - spytała Libby, idąc za nim.

- Tak. Na dziś wystarczy.

Ale tylko na dziś... Niestety, Josh, skoro już zakosztował ust Libby, nie mógł obiecać niczego więcej.

- Jak umawiamy się w piątek? Może o wpół do jedenastej?

- Nadal chcesz jechać z nami po zakupy?

- Powiedziałem przecież, że to był pocałunek dwojga przyjaciół. Zapomnimy o tym szybko i wszystko wróci do normy.

Josh kłamał jak z nut, zastanawiając się jednocześnie, czy Libby wszystkich facetów stara się trzymać na dystans, czy tylko jego.

- Cieszę się, Josh, że jesteś taki rozsądny.

- Raczej trochę staroświecki i dociera do mnie, kiedy kobieta mówi „nie”.

- Cieszę się, że tak właśnie myślisz - powiedziała Libby, starannie wygładzając bluzę. - Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. A co do piątku, to może umówimy się wcześniej. O jedenastej w sklepach będą już dzikie tłumy.

- Czyli o której?

- W piątek sklepy otwierają skoro świt. Mógłbyś przyjechać już tak kolo siódmej?

- Jasne - powiedział Josh, wychodząc na dwór i wciągając głęboko w płuca zimne, wieczorne powietrze. - Dobranoc, Libby!

- Dobranoc.

Przyjaciele. Libby chce, żeby zostali przyjaciółmi. I bardzo dobrze, przecież on nie ma zamiaru wiązać się z żadną kobietą. Ale mile, przyjacielskie stosunki z tak uroczą osobą, to zupełnie co innego. Dlaczego więc pocałował Libby? A kiedy wyszarpnęła się z jego objęć, poczuł ból, tak dotkliwy, jakby ktoś zdzielił go pięścią w twarz. Tak, jedną rzecz wiedział teraz na pewno. Jak ognia powinien unikać całowania się z Libby McGuinness. Tylko czy jest to w ogóle możliwe?

I znów wyglądało na to, że dopóki tylne światła zielonego vana nie znikną w mroku, nic nie jest w stanie oderwać Libby od okna. Rozmyślała o tym piątku, kiedy to razem z doktorem Gardnerem kupią prezenty, które Święty Mikołaj wręczy dzieciom członków Klubu Biznesmenów. Josh powiedział, że chce pochodzić po sklepach, bo ma mnóstwo wolnego czasu i prawie żadnych znajomych. Ciekawe, z kim spędzi Święto Dziękczynienia? Może wypadało o to zapytać? Bez sensu, przecież i tak nie może go zaprosić. Bo i po co? Po to tylko, żeby Pearly i Josie zacierały ręce z radości? Wykluczone. I nie ma żadnego powodu, aby roztkliwiać się nad samotnym doktorkiem, który urządził jej karczemną awanturę na parkingu, a potem skradł kilka pocałunków, które jakoby były niewinnymi przejawami przyjaźni. Dobrze sobie...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Libby wykręciła numer, który doskonale знаła już na pamięć, i natychmiast z powrotem odłożyła słuchawkę. Bez przesady. To nie jej sprawa, czy doktor Gardner ma z kim spędzić Święto Dziękczynienia. Powtarzała to sobie w nieskończoność, niestety, najtrudniej jest udzielać rozsądnych rad samej sobie.

Otworzyła piecyk i poląła tłuszczem okazałego indyka. Tak, absolutnie nie ma żadnego powodu, by odczuwać wyrzuty sumienia. Na pewno znajdą się jacyś znajomi z dawnych lat, którzy zaproszą doktora Gardnerem. Może doktor ma w Erie krewnych? W każdym razie Libby nie widziała powodu, by go karmić. Na tego indyka, oprócz Libby i Meg, ostrzyły sobie zęby jeszcze dwie osoby. Mabel, na szczęście, umówiła się na ten wieczór ze swoim nowym przyjacielem, tak więc Libby podejmować będzie jedynie Josie i Pearly. Drogie przyjaciółki na pewno spróbują dowiedzieć się jak najwięcej na temat drugiego spotkania Libby z Joshem. Oczywiście, do nich nie dociera, że i to spotkanie miało charakter służbowy! Choć z drugiej strony, Libby nieczęsto całowała się podczas spotkań służbowych. Szczerze mówiąc, w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz całowała się z mężczyzną.

Dopiero z Joshem, w kuchni, ten pocałunek, podobno niewinny i przyjacielski...

Libby poczuła, że ktoś z całej siły szarpie ją za rękaw.

- Mamo!

Dziewczynka była zła. Gdyby jej ręce były w stanie wydać z siebie głos, Libby musiałaby chyba zatkać sobie uszy.

- Dlaczego nie zwracasz na mnie uwagi?

- Przepraszam, skarbie, zamyśliłam się.

- Jak indyk?

- A więc to cię martwi najbardziej! - Libby roześmiała się i pociągnęła córeczkę za warkoczyk. - Indyk ma się wspaniale. Jedyne zmartwienie, to czy osiem kilo indyka wystarczy, aby zaspokoić twój apetyt!

- Uwielbiam indyka!

- Sama jesteś indyk!

- Josie pyta, czy może przyjść ze swoim chłopakiem.

- Josie ma chłopaka? No, proszę, a ja o niczym nie wiem - zdziwiła się Libby, chociaż właściwie skąd miałyby wiedzieć, co dzieje się wokół, skoro bez przerwy rozmyślała o Joshu. - Oczywiście, niech go przyprowadzi. A skąd ty o tym wiesz?

- Josie przysłała mi mail. Ty wiesz, jaki ona ma komputer? Chyba trzy razy szybszy niż nasz.

- Przykro mi, Meg, ale na taki sprzęt musimy jeszcze trochę poczekać.

- Wiem, wiem. No, to lecę odpisać Josie, żeby przyszła z tym chłopakiem.

Meg, wyraźnie przejęta, pomknęła do pokoju. Mała, kochana Meg. Ile będzie radości, kiedy Święty Mikołaj przyniesie nowy komputer, i to o niebo lepszy od tego, którym dysponowała Josie! Libby jeszcze raz polala indyka i zamknęła piecyk, starając się, aby jej myśli nadal krążyły wokół parametrów twardego dysku. Niestety, doktor Gardner bez przerwy wysuwał się na pierwszy plan i Libby poczuła ulgę, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Josie! Nareszcie! A gdzie twój kawaler?

- Wyjmuje sałatkę z samochodu - poinformował rudzielec, wpadając jak burza do holu. - No, no, co za zapachy! Czuję, że naszykowałeś same pyszności.

- Przekonasz się! A gdzie Pearly? Nie przyjechała z tobą, przepraszam, z wami?

- Nie, przyjechałam sama - zakomunikowała Josie. wręczając Libby salaterkę. - Proszę, a to do lodówki.

- Dzięki. Ale dlaczego sama? A twój chłopak?

- Przyjechał swoim vanem - odpowiedziała Josie, zajęta wieszaniem okrycia w szafie. - Zaparkował na ulicy. Na twoim podjeździe nie starczyłoby miejsca dla nas obojga. Ten jego van jest cholernie duży i...

- Zielony? - krzyknęła Libby, tknięta strasznym przeczuciem.

- Tak jest! - usłyszała radosny głos doktora Gardnera. - Cześć, Libby! Dzięki za zaproszenie.

Spojrzenie, jakim poczęstowała go Libby, mówiło samo za siebie.

- Mimo wszystko uważam, że mój widok napawa cię radością - stwierdził pogodnie Josh. - Czy mogę zanieść sałatkę do kuchni?

- Bardzo proszę. Znasz drogę, prawda?

- Naturalnie!

Kiedy Josh zniknął za drzwiami kuchni, Libby przystąpiła do ataku.

- Josie!

- Tak, Libby?

- Dlaczego właśnie on?

- Przecież jest sam - wyjaśniła Josie głosem pełnym troski. - W takim dniu nie zostawia się człowieka samego, to byłoby potworne świństwo.

- Bez przesady, przecież on urodził się w Erie. Na pewno ma jakąś rodzinę albo starych znajomych.

- Rodziny nie ma, ze starych znajomych nikt go nie zaprosił. A ty chciałabyś, żeby siedział samiutki jak palec w pustym mieszkaniu? Nad szklanką herbaty? Przecież wiesz, że samotny mężczyzna nie ma w domu nawet porządnego garnka.

- Są jeszcze restauracje.

- Nie rozumiem, Libby, co on ci takiego zrobił, że na jego widok wpadasz od razu we wściekłość?

- Bo on... - zaczęła Libby. Na szczęście nie dokończyła. Nie miała złudzeń, ujawnienie faktu, że całowała się z doktorem, wzbudziłoby w Josie gwałtowną potrzebę przeprowadzenia wnikliwego śledztwa.

- Co on?

- Nic. Po prostu zdziwiłam się na jego widok. Meg mówiła, że przyprowadzisz swojego chłopaka.

- A kto powiedział, że nie jestem chłopakiem Josie? - spytał wesoło Josh, ukazując się nagle w drzwiach kuchni. Josie natychmiast podskoczyła do doktora i cmoknąwszy go w policzek, zaszczębiotała:

- Jesteś milutki.

- Wiem o tym - stwierdził z dumą, obejmując ją ramieniem. - Więc będziesz moja, skarbie?

- Nic z tego, kochany - odparta zmartwionym głosem Josie, zawzięcie żując gumę. - Nie wytrzymałbyś długo z taką wariatką.

- To może Pearly mnie zechce? - spytał Josh z nadzieją w głosie.

Josie parsknęła śmiechem i wywinąwszy się z jego objęć, znikła w kuchni.

- Nie lubisz przegrywać - stwierdziła Libby. Miał to być żart, nie rozumiała zatem, dlaczego do jej głosu zakradł się niepokój.

- A nie lubię - odparł spokojnie Josh, zajęty wieszaniem płaszcza w szafie. - O chyba spróbuję poderwać jeszcze jedną damę.

- Która na pewno też ci odmówi - palnęła natychmiast Libby.

- Trudno! W takim razie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, umówię się na randkę z Meg - oświadczył Josh,

wyciągając z kieszeni grę wideo. - Może przynajmniej ona okaże mi trochę serca.

Zrobił przy tym tak zabawnie nieszczęśliwą minę, że Libby trudno było zachować powagę.

- Jeśli gra spodoba się Meg, masz tę randkę jak w banku!

- Dzięki, natchnęłaś mnie otuchą - ucieszył się Josh. - Idę więc zmierzyć się z panną Meg. Ty, zapewne, musisz wracać do kuchni.

I doktor Gardner, niezmiernie z siebie zadowolony, ruszył przez hol.

- A nie miałbyś ochoty postać trochę przy garnkach?! - krzyknęła za nim Libby.

- Brr... - Doktor Gardner otrząsnął się z prawdziwym obrzydzeniem. - Na to mnie nie namówisz! Ale potrafię wkładać naczynia do zmywarki.

- Przyjmuję twoją propozycję - oznajmiła Libby i poszła do kuchni, gdzie od razu dopadła ją zaciekawiona Josie.

- Jaką propozycję?

Libby miała jednak co innego na głowie. Otworzyła lodówkę i zastanawiała się, jak upchnąć w niej potrawy, przyniesione przez gości.

- No, powiedz - poprosiła Josie. - Nie bądź taka.

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj, Libby! Nawet ślepy by zauważył, że między wami aż iskrzy.

- Bez przesady - mruknęła Libby, zajęta przesuwaniem pojemniczków. - Przecież ja go prawie wcale nie znam.

- Ale...

- Josie! Jak zwykle coś sobie ubzdurzyłaś - powiedziała szorstko Libby, odbierając od przyjaciółki salaterki z sałatką. - Między mną a doktorem Gardnerem nic nie iskrzy. Mało tego, ja go nawet nie za bardzo lubię. Dla mnie to facet, który nie

umie ani parkować, ani gotować. No i pomaga mi organizować przyjęcie świąteczne. To wszystko.

- Zapominasz, że ma jedną wielką zaletę.

- Jaką?

- Jest mężczyzną.

- No i co z tego! - obruszyła się Libby, zamykając energicznie lodówkę. - Świat się na nich nie kończy.

Miała dość tej głupiej dyskusji, podeszła więc do piecyka i z wielką uwagą zaczęła polewać indyka tłuszczem.

- A ja i tak wiem swoje - stwierdziła Josie lekko obrażonym tonem.

- Myślał indyk o niedzieli... - mruknęła Libby, patrząc na osiem kilo wspaniałego mięsa. Na szczęście ponownie rozległ się dzwonek u drzwi.

- O, to na pewno Pearly! - krzyknęła Josie.

Libby zamknęła drzwiczki piecyka i poszła do przedpokoju. Ciekawe, czy Pearly też brała udział w tym spisku, którego celem było zwabienie doktora Gardnera do domu Libby? Roześmiana twarz siwowłosej przyjaciółki wskazywała na to, że nawet jeśli Pearly maczała w tym palce, absolutnie nie czuje z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

- Cześć, Libby! Jak tu smakowicie pachnie!

- Cześć!

- Josie już przyjechała?

- Tak - potwierdziła Libby, wpatrując się w Pearly bardzo intensywnie. - Razem ze swoim kawalerem.

- Cieszę się, że Josh przyjął zaproszenie - powiedziała Pearly, zdejmując okrycie i wieszając je w szafie.

- A ja tak prosiłam, żebyście przestały spiskować!

- Spiskować? - spytała lekko urażonym głosem Pearly. - Wiadomo było, że któraś z nas go zaprosi. Przecież znamy go,

pracuje tuż obok twojego salonu i wiemy, że nie ma z kim zasiaść do świątecznej kolacji.

- No, może rzeczywiście masz rację.

Pearly przez chwilę przyglądała się Libby z uwagą, po czym uśmiechnęła się i serdecznie pogłaskała ją po ramieniu.

- Kochanie! My naprawdę nie chcemy wtrącać się w twoje życie. Jesteś świetną dziewczyną, cudowną szefową i wszyscy życzymy ci jak najlepiej, ale każdy z nas ma swoje sprawy i problemy. Także Josh.

Trudno było polemizować z takim stwierdzeniem. Libby poczuła się jak ostatni głupek i ze spuszczoną głową poszła za przyjaciółką do kuchni. Czowała nieznośny ucisk w sercu. Zanosilo się na to, że czeka ją najdłuższe Święto Dziękczynienia w życiu.

Podobnie myślał Josh. Najdłuższe Święto Dziękczynienia w historii Stanów Zjednoczonych. Oczywiście, nie chodziło o to, że jedzenie jest złe. Przeciwnie. Indyk był soczysty, nadzienie świetnie doprawione, sos żurawinowy bez zarzutu, a warzywa rozplływały się w ustach. Tak, jedzenie było wyborne. Ale wspólna kolacja dłużyła się w nieskończoność z powodu dwóch dam, które zupełnie nie miały wyczucia. Josh tak bardzo chciał zostać z Libby sam na sam. A te dwie sekutnice, choć przedtem wydawało się, że zrobią wszystko, aby Josh i Libby padli sobie w ramiona, niezłomnie trwały przy stole. Owszem, co pewien czas któraś z nich przebąkiwała, że czas już się zbierać, lecz żadna z nich nie ruszała się z miejsca. W rezultacie po deserze wszyscy zasiedli do scrabble'a. Robili już trzecią rundkę, a Josh zaczął się modlić o jakiś kataklizm, który przerwałby tę zabawę. Gdyby potrafił choć na chwilę przestać myśleć o Libby, musiałby przyznać, że wieczór upływa w miłej atmosferze. Niestety, pomimo zapewnień Libby, że żaden mężczyzna nie

jest jej potrzebny, Josh cały czas czekał na sposobność, by ponownie pocałować panią domu.

Nagle Meg zaczęła coś z wielkim przejęciem przekazywać matce. Ręce Libby również ożywiły się. Teraz ona, powoli i cierpliwie, tłumaczyła coś dziecku. Josh przyglądał im się z wielką uwagą. Poprzedniego wieczoru szukał w Internecie jakichś informacji o języku migowym. Na razie wydrukował sobie alfabet, który ćwiczył cały ranek. Już udało mu się zapamiętać kilka liter. Miał zamiar opanować cały alfabet, by łatwo porozumiewać się z Meg.

- To było „z”!

- Co?

Libby spojrzała na Josha ze zdumieniem. Po raz pierwszy, odkąd usiedli do stołu. Było jasne, że stara się zapomnieć nie tylko o pocałunku, ale również o obecności niespodziewanego gościa. Josh jednak nie miał zamiaru grać według tych zasad, dlatego też postanowił przypomnieć Libby o swej skromnej osobie.

- Ten wyraz kończy się na „z” - powtórzył. - A przedtem chyba było „r”.

- Zgadza się - przyznała Libby. - Literowałam wyraz „kalendarz”.

- A więc nie jest ze mną tak źle - stwierdził Josh, zadowolony przede wszystkim z tego, że udało mu się ściągnąć na siebie uwagę Libby. - Uczyłem się dziś alfabetu migowego. Właściwie to umiałbym już przeliterować cały ten wyraz, choć oczywiście, nie tak szybko, jak ty.

Powoli, trochę niezdarnie, Josh przeliterował „kalendarz”. Zachwycona Meg klasnęła w rączki i zaczęła coś pokazywać matce.

- Co mówi Meg? - spytał Josh.

- Mówi: „dobra robota” - wyjaśniła Libby.

Josh uśmiechnął się i znów powolutku, ale bezbłędnie pokazał: „dziękuję”. Meg znów klasnęła z radości w ręce, w przeciwieństwie do Libby, która spojrzała ponuro na Josha i nagle zaczęła coś z przejęciem wyjaśniać Pearly i Josie. Jakby fakt, że Josh stara się nawiązać bliższy kontakt z Meg, wcale jej nie ucieszył. Raczej wydawała się zmieszana. A może przestraszona?

Tymczasem Meg dyskretnie pomachała do Josha ręką i doktor równie dyskretnie uniósł pytająco brew. Wtedy dziewczynka wskazała na matkę i przeliterowała: „lubisz”, po czym wskazała na Josha. Josh skinął głową, przeliterował „lubię” i wskazał na Meg i Libby. Potem jeszcze raz wskazał Meg i pokazał: „lubisz”. Meg kilkakrotnie skinęła główką i uśmiechnęła się.

- A wy co robicie? - spytała nagle Libby.

- Powiedziałem twojej córce, że ją lubię - wyjaśnił z dumą Josh.

Libby spojrzała na Josha zimnym wzrokiem i po raz pierwszy podczas wspólnej kolacji jej ręce pozostały nieruchome. Najwidoczniej nie miała zamiaru tłumaczyć niczego Meg.

- Wolałabym, żebyś nie mieszał jej w głowie.

I nagle temperatura przy stole obniżyła się o dobre kilka stopni. Powiało prawdziwym mrozem, który zimą ścina powierzchnię jeziora Erie w wielką, lodową tafłę.

Josh speszył się. Przecież nie zrobił nic złego, po prostu poinformował Meg, że ją lubi. Na pewno lubią ją wszyscy, to taka miła dziewczynka. Gdyby Joshua miał córeczkę, chciałby, żeby była podobna do Meg.

Ostatnią rozgrywkę scrabble'a ukończono w rekordowym tempie, po czym Pearly i Libby stwierdziły, że Meg musi im koniecznie coś pokazać i cała trójka przeszła do pokoju dziewczynki. Tak więc marzenie Josha spełniło się. Był z

Libby sam na sam, szkoda tylko, że atmosfera uległa wyraźnemu ochłodzeniu.

- Już idziesz? - spytała z nadzieją w głosie.

- Chyba tak. Ale przedtem chciałbym wiedzieć, o co ci chodzi.

- Nie rozumiem - mruknęła, zajęta składaniem gry.

- Dobrze wiesz - powiedział cicho Josh, delikatnie kładąc dłoń na jej dłoni. - Powiedziałem Meg, że ją lubię. Czy to taka zbrodnia?

- To nie wszystko - syknęła Libby, wrywając rękę. - Nauczyłeś się pokazywać litery na palcach.

- Tak. Ściągnąłem sobie alfabet z Internetu.

- I wtedy powiedziałaś, że ją lubisz.

- Bo ją lubię. Tak samo, jak jej matkę. Zresztą to też powiedziałem Meg.

- O, nie! - jęknęła Libby.

- Co „nie”? - spytał Josh, znów przykrywając dłonią jej dłoń. - Czy nie wolno mi darzyć ciebie sympatią, czy też zabraniasz mi mówić o tym Meg?

- I to, i to! Panie doktorze, niech pan posłucha...

- Jesteśmy na „ty”.

- Dobrze, dobrze. A więc, posłuchaj, Josh. Pracujemy w sąsiedztwie, należymy do tego samego klubu, powoli zaczęłam dochodzić do wniosku, że wcale nie jesteś taki przykry, jak wydawało mi się na początku. Ale to wszystko jeszcze nie oznacza, że cię polubiłam.

- Powiedziałem tylko, że to ja ciebie lubię - powiedział Josh i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Co on wygaduje? Nie zdążył jeszcze ochłonać po rozwodzie, a już pakuje się w kolejną miłosną aferę. Bez sensu. Ciekawe jednak, czy Libby McGuinness jest tak nieprzejednana, bo też już kiedyś się sparzyła? A może ona przed czymś ucieka?

- Nie! - powtórzyła Libby i zerwała się od stołu. Chciała wybiec, ale Josh szybko wstał i przytrzymał ją za ramię.

- Libby! Nie możesz nikomu nakazać, by przestał cię lubić! Podoba mi się w tobie wiele rzeczy. Twoja odwaga, twój stosunek do dziecka. I to, że tak zażarcie bronisz się przed wszelkimi ingerencjami w twoje życie prywatne, choć przyjaciółki nie dają ci spokoju. Muszę przyznać, że nie mam do nich o to pretensji. Ale najbardziej... najmilej wspominam chwilę, kiedy cię objąłem i...

- Zapomnij o tym! - sapnęła czerwona jak burak Libby, usiłując uwolnić swoje ramię.

- Nie potrafię. Nie umiem zapomnieć, jak bardzo mi się podobasz i jak bardzo chciałbym, żeby gdzieś tutaj wisiała jemiola.

- Do świąt jeszcze daleko.

- Szkoda! W twoim domu jemiola powinna wisieć przez cały rok - oznajmił Josh, puszczając ramię Libby, ale tylko po to, żeby ją objąć. - Libby! Na pewno też chcesz się przekonać, czy za drugim razem będzie równie przyjemnie...

Libby zadrżała i zamiast walczyć jak tygrysica, przywarła do Josha całym ciałem. Natychmiast jednak zreflektowała się i szarpnęła, odsuwając się od niego możliwie jak najdalej.

- Nie mam zamiaru przekonywać się o czymkolwiek. I wcale nie chcę się z tobą całować.

- Nie, Libby, ty po prostu nie chcesz chcieć - powiedział łagodnie Josh, nie zmniejszając dzielącej ich odległości. - Chociaż właściwie świetnie cię rozumiem. Ja też nie planowałem takiego rozwoju sytuacji. Ale stało się, polubiłem cię, a potem pocałowałem... Oboje wiemy, że nie jesteśmy sobie obojętni. Nie ma sensu zaprzeczać...

- Nigdy nie słyszałam czegoś bardziej pokrętnego! - prychnęła Libby.

Josh bez słowa opuścił ramiona i Libby natychmiast cofnęła się o kilka kroków.

- Jak mówi się w języku migowym „całować”? Libby cofnęła się jeszcze o krok.

- Czy wystarczy złożyć usta, tak jak do pocałunku?

- A po co ci to wiedzieć, skoro i tak nie będziemy się całować?

- To może pogadamy po francusku? - spytał Josh niskim głosem, nie spuszczać z niej oczu. - Całować, czyli embrasser. Jaki to piękny język! Na przykład, nie jemy ślimaków, ale escargot! A więc, moja miła, czy chcesz embrasser moi?

- Wolę jeść ślimaki niż embrasser.

- A ja wolę - powiedział jeszcze niższym głosem Josh, podchodząc coraz bliżej - żebyś przestała się oszukiwać i zaczęła w końcu...

- Całować się z tobą?! Wykluczone! - zaprotestowała z całą mocą Libby, pragnąc jak najszybciej pozbyć się tego zadufanego faceta. - Ustaliliśmy, że będziemy tylko przyjaciółmi.

- W porządku, Libby. Powiedziałem też, że nie będę cię do niczego zmuszał. Ale ja wcale nie muszę tego robić, bo ty chcesz się ze mną całować. Po prostu chcesz.

- Idź do domu, Josh. Proszę.

Ale on nie zamierzał potulnie posłuchać. Czuł, że absolutnie nie chce opuszczać Libby, i to doznanie sprawiło go w osłupienie. Kiedy Lynn zażądała separacji, coś w nim pękło. Kobiety w ogóle przestały go pociągać. A teraz stał przed Libby i widział tylko jej usta. Pełne, czerwone, stworzone do pocałunku. Choć teraz zaciśnięte w wąską linię, bo Libby była zła. A może bała się?

- Nikt mi nie będzie mówił, czego chcę - oznajmiła, jakby czytając w jego myślach. A po chwili dodała: - Wcale się

ciebie nie boję. Po prostu uważam, że nie powinnam całować się z egoistami, którzy na dodatek nie potrafią parkować.

- Myślałem, że tę historię z parkowaniem puściliśmy już w niepamięć.

- A ja myślałam, że puściliśmy również w niepamięć fakt, że w ogóle kiedykolwiek całowaliśmy się. Czyli oboje przyjęliśmy błędne założenie. Dobranoc, Josh.

Jej głos zabrzmiał niezwykle kategorycznie. Chłodnym wzrokiem patrzyła, jak Josh idzie do holu, wyjmując płaszcz z szafy i opuszcza jej dom. Kiedy trzasnęły drzwi, poczuła satysfakcję. Wreszcie udało jej się pozbyć tego bezczelnego faceta, który nie dość, że się wprosił na uroczystą kolację, to jeszcze próbował wyłudzić kilka pocałunków.

I znów stała przy oknie, odprowadzając wzrokiem samochód Josha. Nagle usłyszała, że ktoś obok znacząco chrząknął.

- No i masz babo placek! - powiedziała Pearly. niemalże z rozpaczą. - Jak można było tak wszystko spartolić! Nie wierzę...

- Co ty wygadujesz, Pearly!

- Kiedy tak na was patrzyłam przy stole, wydawało mi się, że znów jestem w domu, w Buford. Opowiadałam ci kiedyś o moich rodzicach?

- Nie.

- Żyli ze sobą jak pies z kotem. Ożywione dyskusje były na porządku dziennym, żadne z nich nie chciało ustąpić. Warczeli na siebie, a po kilku godzinach kazali nam, dzieciom, iść do ogrodu i nazrywać truskawek albo zamieść podwórze czy coś w tym rodzaju. Po iluś tam latach dotarło do nas, że oni, kiedy zostawali sami, przestawali się kłócić i nadzwyczaj gładko dochodzili do porozumienia. W wiadomy sposób.

- Pearly! - zachnęła się Libby, nie mogąc jednak powstrzymać się od uśmiechu. Jak tu gniewać się na Pearly za te zabawne historyjki, opowiadane śpiewnym, łagodnym głosem!

- A wy spartaczyliście wszystko.

- Przestań!

- Niestety, nie przestanę. Po raz pierwszy uważam, że nasza Josie, która tak naprawdę zna się tylko na gumie do żucia, ma całkowitą rację. Ty i Josh pasujecie do siebie jak dwie krople wody.

- Co ty wygadujesz? Przecież my się bez przerwy kłócimy....

- Jak moi rodzice! Och, Libby! Jeśli spotkasz mężczyznę, z którym się kłócisz, a potem godzisz, to nie powinnaś wypuszczać go z rąk. Uwierz mi. wiem, co mówię - oznajmiła Pearly. - Ale na mnie już czas! Dzięki, było bardzo miło, jak zawsze u ciebie. I pamiętaj, co powiedziałam. Takiego faceta nie wypuszcza się z rąk!

Ale nie Joshuę Gardnera. Tego faceta Libby nie miała zamiaru nawet próbować łapać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Mamusiu, on już przyjechał!

Meg, jak zwykle, zdążyła otworzyć drzwi. Libby westchnęła i z niezwykłą pedanterią dokończyła składanie dwóch ostatnich koszulek, które wyjęła z suszarki. Nie musiała się śpieszyć. Włączyła pranie bardzo wcześnie, zaraz po przebudzeniu i czasu było aż nadto. Wiedziała doskonale, kim jest gość, zaanonsowany przez Meg. Zauważyła, że Meg jest bardzo podekscytowana jego przybyciem i w ogóle całym dzisiejszym dniem. Ale Libby, niezależnie od tego, co spotka ją dzisiaj, nie zamierzała tracić zimnej krwi. A doktor Gardner może chwilkę poczekać.

Libby mimo wszystko miała nadzieję, że po lodowatym pożegnaniu w Święto Dziękczynienia Josh sam straci ochotę do wspólnej wędrowki po sklepach. Niestety, nadzieja okazała się płonna, a doktor Gardner, zdaje się, uwielbiał wprowadzać w jej uregulowane życie nieco chaosu. Pokłócił się z nią na parkingu, zepsuł Święto Dziękczynienia, pocałował. I co najgorsze, pocałował tylko raz, a potem... potem już nic. Libby uniosła rękę i leciutko dotknęła palcami warg. No cóż, trudno oszukiwać samą siebie. Wczoraj, kiedy po ich ożywionej dyskusji Josh powstrzymał się od pocałunku, Libby poczuła coś na kształt rozczarowania, choć nigdy by nie przypuszczała, że można ją zaliczyć do kobiet, które mówią „nie”, a myślą zupełnie co innego. Jej zdecydowany i kategoryczny sprzeciw był tak naprawdę skierowany do niej samej. Żeby zdławić to głupie „tak”, czające się pod powierzchnią. Po pierwszym pocałunku czuła się kompletnie oszołomiona. Niestety, drugi pocałunek nie nastąpił i Libby wcale nie była z tego powodu zadowolona. Okropne...

Zamknęła oczy. Znów poczuła na swoich ustach gorące wargi Josha, poczuła żar bijący od jego muskularnego ciała. Jak to możliwe, żeby jeden, jedyny pocałunek wprowadził taki

zamęt w jej umyśle? Spowodował istną burzę hormonów? Czy dlatego, że od tylu lat żaden mężczyzna nie trzymał jej w ramionach? Jej ciało i zmysły były uśpione. A teraz? Teraz obudziły się wszystkie tęsknoty. I tę sytuację Libby odczuwała jako nadzwyczaj kłopotliwą. Jedynym sposobem na jej uzdrowienie było kategorię postawienie sprawy. Żadnych pocałunków z Joshem, tak skorym do flirtu. Wczoraj Libby zdecydowanie postawiła na swoim. Bez problemu? O nie, wręcz przeciwnie. Potem spędziła bezsenną noc. niby z powodu nawału pracy, który czekał ją w najbliższym czasie. Czy naprawdę dlatego do świtu przewracała się z boku na bok? Oczywiście! Praca i ten nowy komputer. Libby odruchowo potarła wargi, jakby ścierała z nich ostatni ślad pocałunku.

- Libby?

To dobrze, że tak wspaniale udało jej się zapanować nad drżeniem rąk i spokojnie, nie patrząc na Josha, dokończyć składanie ostatniego podkoszulka. A potem ułożyć usta w uprzejmy, zdawkowy uśmiech.

- Witaj, Josh. Zaraz będę gotowa.

- Nie musisz się spieszyć, przyjechałem parę minut wcześniej - uspokoił ją. - Meg pokazała mi, gdzie jesteś i zaraz pobiegła do swojego pokoju.

- Meg chce kupić coś dla siebie. Na pewno teraz skrupulatnie przelicza oszczędności.

- A co ma zamiar kupić?

- Na pewno nową grę wideo.

- Może taką, w której będę miał nareszcie jakieś szanse! - uśmiechnął się Josh. - Twoja córka jest niezrównana.

Libby miała już na końcu języka chłodny komentarz, że po zorganizowaniu świątecznego przyjęcia Josh nie będzie miał okazji zagrać w cokolwiek z jej córką, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, Josh rzucił propozycję:

- Zjrzę do Meg, nie chcę ci przeszkadzać.

- Właściwie to już skończyłam - mruknęła Libby, ale Josh znikł już za drzwiami. Mniej więcej po kwadransie kroczyła za nim i Meg do zielonego vana, dosłownie wciśniętego w ścianę garażu.

- Lepiej już pan nie mógł zaparkować, panie doktorze Gardner!

- Myślałem, że postanowiliśmy nie wracać do tej kwestii, pani McGuinness! Zaparkowałem bez zarzutu.

- Tak jak zwykle - mruknęła Libby pod nosem, wsiadając do samochodu. - Mam nadzieję, że uda nam się wszystko szybko załatwić.

Niestety, tempo poruszania się po sklepie z zabawkami, jakie prezentowali Meg i Josh, można było określić wyłącznie jako ślimacze. Zadanie polegało na kupieniu odpowiedniej zabawki dla każdego dziecka z listy Mabel. Meg podeszła do sprawy nadzwyczaj poważnie. Bez zbędnego pośpiechu wybierała kolejną zabawkę, długo nad nią medytując, po czym do dyskusji włączał się Josh i oboje wyczerpująco omawiali wszystkie za i przeciw. Libby szła za nimi, cierpliwie tłumacząc wszystkie wypowiedzi, i czuła, że za chwilę eksploduje ze złości. Trwało to blisko dwie i pół godziny. Wreszcie odfajkowano ostatnie nazwisko na liście Mabel i teraz pozostał do zrealizowania ostatni punkt programu - prywatny zakup Mabel, czyli nowa gra wideo. Naturalnie, decyzja nie została podjęta błyskawicznie.

- „Quest” jest drogi - zastanawiała się dziewczynka - a w „Annihilatorze” występuje bardzo dużo postaci...

- Za to pod względem graficznym jest do bani! - zaoponował Josh.

- Nie ma mowy o „Annihilatorze”! - ucięła dyskusję Libby. - W tej grze jest za dużo przemocy.

- Ale „Quest” to gra dla przedszkolaków - skomentowała Meg.

- Za to jest tu mniej krwi i przemocy - oświadczył zdecydowanie Josh, biorąc grę z półki. Kiedy jednak spojrzał na nieszczęśliwą minę dziewczynki, potrząsającej energicznie głową, odłożył „Quest” na miejsce.

- To może „Star Lords”? - zaproponował. - Syn moich przyjaciół, Charlie, ma tę grę. Jest fantastyczna i niezbyt brutalna. Grałem z nim kilka razy.

- A pograsz ze mną? - zapytała natychmiast Meg.

Libby spojrzała na Josha i zawahała się. Była zaniepokojona, że dziecko zaczyna łączyć do doktora Gardnera. Znają się tak krótko, a Meg zdążyła już przyzwyczać się do obecności Josha, nabrać do niego zaufania, a nawet słuchać jego rad. A dziś zakupy robią właściwie Meg i Josh, Libby została zdegradowana do roli osoby towarzyszącej i tłumacza. Ona pracuje, a Josh i Meg świetnie się bawią! Śmieją się i paplają jak najęci, razem podejmują decyzje, nie racząc zapytać jej o zdanie. A mała Meg jest w siódmym niebie. Prawdopodobnie nie chodzi tu konkretnie o Josha, po prostu Meg jest zachwycona, że w ich babskim życiu pojawił się wreszcie jakiś mężczyzna.

- Przepraszam, zamyśliłam się - zreflektowała się Libby. - Josh, Meg pyta, czy będziesz z nią grał.

- Z przyjemnością, o ile mama Meg mnie zaprosi, na przykład dziś, po zakupach.

- Dobrze, jesteś zaproszony - powiedziała Libby, gładko, uprzejmie i bez odrobiny entuzjazmu. Josh, wcale niezrażony, uśmiechnął się szeroko do Meg i skinął głową. Paluszki Meg natychmiast odpowiedziały: „Super!”. Dziewczynka ochoczo włożyła grę do wyładowanego już po brzegi wózka i popchnęła go w stronę kas. Josh i Libby ruszyli za dziewczynką.

- Nie musisz posługiwać się moją córką, żeby wprosić się na lunch - rzuciła półgłosem Libby.

- Czyżbyś sama miała zamiar mnie zaprosić?

- Wcale nie!

- Ciagle jesteś zła, że ośmieliłem się cię pocałować?

- Uważaj! Meg nieźle czyta z ruchu warg.

- Ale nie patrzy na nas - powiedział łagodnie Josh, kładąc dłoń na ramieniu Libby. - Powiedz, czy chodzi ci o ten pocałunek, czy o wczorajszy wieczór?

- Jaki pocałunek? - bąknęła Libby. Czy jej rozmowa z Joshem Gardnerem musi zawsze dotyczyć pocałunków? I czy ona, kiedy jest z nim sam na sam, nie mogłaby w końcu zacząć myśleć o czymś innym? Zawsze uważała siebie za osobę rozsądną i zrównoważoną. Przy Joshu Gardnerze wszelki rozsądek zniknął, zjawiała się jakaś inna Libby McGuinness, drżąca, zaniepokojona. I z głową pełną głupich pomysłów.

- Możesz próbować zapomnieć, że cię pocałowałem - szepnął Josh. - Ja też. Ale wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że powtórzymy tę miłą czynność. Nasze pocałunki są po prostu... z góry zaprogramowane.

- Śmiem w to wątpić! - zaprzeczyła Libby stanowczo. - Josh, może jesteś sympatyczny, ale niezbyt lotny. Zupełnie do ciebie nie dociera, że ja nie szukam partnera.

- No, no, już lepiej! Myślałem, że odepchnęłaś mnie, bo jestem zbyt arogancki i pewny siebie.

- Trafiłeś w sedno, Josh. Jesteś arogancki, ale jednocześnie potrafisz być miły, i dlatego postanowiliśmy zostać przyjaciółmi.

- O ile sobie przypominam, była to jednostronna sugestia.

- A brak sprzeciwu można uznać za zgodę - oświadczyła Libby, która postanowiła trzymać się stwierdzenia, że Josh jest jednak bardziej arogancki niż sympatyczny.

- A któryż to sąd wydał taki wyrok?

- Ja. Ja sama. Jedyna instancja, która ma tu cokolwiek do powiedzenia.

- Libby, zdaję sobie sprawę, że ty nie chcesz się z nikim wiązać. Szczerze mówiąc, ja także się do tego nie kwapię. Mam za sobą nieudane małżeństwo i jeszcze nie przeszedłem nad tym do porządku dziennego.

- Ale jesteś po rozwodzie? - spytała szybko Libby, natychmiast żałując, że nie udało jej się powstrzymać ciekawości. To dziwne, ale informacja o małżeństwie Josha sprawiła jej dużą przykrość. - Przepraszam, że pytam, przecież to nie moja sprawa.

- Ale i żadna tajemnica. Rozwiodłem się niedawno, choć moje małżeństwo od wielu lat istniało tylko na papierze. W fazie końcowej był to właściwie już tylko wspólny biznes. Teraz nie chcę się z nikim wiązać.

Libby nie mogła się powstrzymać, żeby nie przypomnieć pewnego drobnego faktu:

- Całowałaś się ze mną.

- Ale nie wyznałem ci dozgonnej miłości.

- Czyli, tak jak ja, zapomniałeś się na chwilę.

- Nie wiem. W każdym razie jeden pocałunek nie oznacza jeszcze związku na całe życie. Dwoje dorosłych ludzi może się czasami pocałować i być jednocześnie dobrymi przyjaciółmi.

- A nie można się przyjaźnić bez całowania?

- Można. I jeśli takie rozwiązanie wydaje ci się bezpieczniejsze, to zastosujmy je. Będziemy się przyjaźnić, ale koniec z pocałunkami.

- Dobrze. Więc teraz rzeczywiście nie pozostaje mi nic innego, jak z czystym sumieniem zaprosić cię na lunch.

- Chyba tak.

- Zastanowię się. Zostało mnóstwo jedzenia z wczorajszej uczyty, przydałaby się jeszcze jedna dodatkowa osoba przy stole!

Pograżeni w rozmowie, powoli zbliżali się do kas. Meg ustawiła się już w kolejce i machała do nich niecierpliwie rączką. Josh szybko podszedł do dziewczynki i oboje zaczęli wykladać zabawki na taśmę. A Libby znów, jak rano, dotknęła palcami swoich warg. Hm, więc wszystko zostało ustalone. Obie strony przyznały, że pocałunek był chwilowym zapomnieniem, drobną wpadką, którą nie należy sobie zaprzętać głowy. Josh obiecał, że koniec z tym, więc Libby powinna odczuć ulgę. A jej zrobiło się smutno. Tak. Westchnęła i powoli zbliżyła się do kasy, słysząc, jak Josh mówi:

- Grę wideo proszę policzyć osobno.

- Bardzo proszę - odpowiedziała kasjerka i sprawdziła cenę. - Czterdzieści pięć dolarów i siedemdziesiąt dwa centy.

Josh, nie zwracając uwagi na Libby, samodzielnie zaczął pokazywać palcami odpowiednie cyfry. Tak, jak to robią ludzie słyszący. A przecież Libby mogłaby mu podpowiedzieć, że siódemka to nie jest pięć palców u jednej dłoni plus dwa u drugiej. W języku migowym wystarczy zetknąć palec serdeczny z kciukiem. Dzięki takim trikom można jedną dłonią pokazać wszystkie liczby. Jednak milczała, widząc zapał Josha i zachwyconą minę córeczki, wpatrzonej w niego jak w obrazek. Milczała, czując, jak wzruszenie ściska ją za gardło.

Kasjerka wręczyła Meg resztę i Libby zaczęła kłaść na taśmie zabawki, które zostały jeszcze w wózku.

- I to wszystko dla państwa córeczki? - zażartowała kasjerka, patrząc na rosnący stos pudełek.

- Nie, nie, to dla różnych dzieci - wyjaśniła Libby. - I ona jest tylko moją córką, a ten pan to...

- No, kto? - usłyszała cichy i dziwnie niezadowolony głos Josha.

- To mój znajomy.

- Przepraszam bardzo - powiedziała trochę zmieszana kasjerka i zajęła się podliczaniem.

Libby przez moment zastanawiała się, skąd to „przepraszam”. Czy kasjerce zrobiło się głupio, że wzięła ich za małżeństwo? A może wyraziła żal, że nie są parą? Spojrzała na Josha. Stał z pochmurną miną, a kiedy pchał wózek na parking, Libby mogłaby przysiąc, że jest wściekły jak diabli.

- Josh, co się dzieje?

- Nic.

- Przecież widzę. Jesteś zły, bo ta kobieta wzięła nas za małżeństwo?

- Skądże. Chodzi mi o coś zupełnie innego, ale to nieważne - uciał Josh, niezwykle energicznie ładując zakupy do samochodu. Droga powrotna na pewno nie upłynęłaby w miłej atmosferze, gdyby nie rączki Meg, które fruwały prawie bez przerwy. Libby niezmordowanie tłumaczyła wszystko Joshowi.

- Mamo, panna Ross prosiła, bym ci przekazała, że Mercyhurst organizuje imprezę choinkową dla dzieci, które mają problemy ze słuchem. Zostałam zaproszona.

- Chcesz iść?

- Oczywiście. Oni szykują tam zawsze pyszne jedzenie, a poza tym fajnie jest spotkać się ze starszymi dziećmi. Niektóre z nich dość dobrze mówią językiem migowym. Lubię te spotkania.

- A co to jest to Mercyhurst? - zapytał Josh.

- Szkoła prywatna, która realizuje specjalny program integracyjny - wyjaśniła Libby. - Organizują kursy języka

migowego, spotkania różnego rodzaju, nawet wspólne letnie wyjazdy.

Meg, szarpiąc matkę za rękaw, przypomniała o swojej obecności.

- Mamo! Pani powiedziała, że mogę przyprowadzić ze sobą jedną osobę.

- W zeszłym roku ja byłam z tobą, pamiętasz?

- Tak. A czy w tym roku mogłabym zaprosić Josha? Libby odruchowo przetłumaczyła całe zdanie, dopiero potem zdając sobie sprawę, o co chodzi córeczce.

- Meg! Dla Josha to będzie bardzo trudna sytuacja - tłumaczyła małej, nie mówiąc tego na głos. - Przecież on nie zna języka migowego, będzie czuł się głupio.

- Ale uczniowie z Mercyhurst znają język mówiony i uczą się migowego. Josh wcale nie będzie czuł się głupio. I on wcale się ze mną nie nudzi. Odrabialiśmy razem lekcje, graliśmy w gry wideo. Wiesz, on jest w porządku.

- A nie chciałaś, żebym się z nim spotykała.

- Bo nie wiedziałam, jaki on jest. Prawie wszyscy panowie, z którymi się umawiałaś, chyba mnie nie lubili. Oni się mnie bali. A Josh jest inny. On jest taki... normalny. A jak z nim rozmawiam, to czuję się tak, jakbym była zwyczajną dziewczynką. Jakbym nie była głucha.

- Nie jesteś głucha - sprostowała szybko Libby. - Masz tylko upośledzony słuch.

- Właśnie tak, ale większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy.

Libby czuła, jak serce w niej zamiera. Tak było zawsze, kiedy jej córeczka, bardzo już doświadczona przez los, mówiła o rzeczach poważnych, bolesnych, o rzeczach, o których dziesięcioletnie dziecko nie powinno mieć pojęcia. Libby starała się chronić Meg, ale nie sposób chować dziecka

pod kloszem, zwłaszcza tak bystrego. Dziewczynka bezbłędnie wyczuwała, jak ludzie reagują na jej kalectwo.

- Zapytaj go - poprosiła znów Meg.

- To nie jest najlepszy pomysł.

- Ale ja proszę, mamó.

Meg nalegała i Libby, westchnąwszy głęboko, wystąpiła z petycją.

- Josh, słyszałeś już, o co chodzi. Zdaję sobie sprawę, że popołudnie z gromadą rozwrzeszczanych dzieciaków to nie najlepszy sposób na spędzanie wolnego czasu, więc zrozumieć...

- To bardzo dobry pomysł - stwierdził spokojnie Josh, nie odrywając oczu od drogi.

- Josh, nie musisz...

- Libby, ja niczego nie muszę. Ale tyle razy ci już mówiłem, że czuję się w tym mieście obco i zawsze chętnie dokądś pójdę. T jeszcze jedna informacja. Ja bardzo lubię dzieci, ot tak, po prostu. Niestety, moja żona nie chciała mieć potomstwa.

- To przykre.

- Tak, nawet bardzo. I kiedy patrzę na twoją Meg, zdaję sobie sprawę, jak bardzo mi tego brak.

- Josh, ale to nie znaczy, że musisz z nią iść na tę imprezę.

- Nie muszę, ale chcę, o ile, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu. Zdaję sobie sprawę, że znamy się bardzo krótko.

- Ależ nie o to chodzi - zachnęła się Libby. Ufała Joshowi, nie było żadnego powodu, żeby mu nie wierzyć, nawet jeśli wbiła sobie do głowy, że jest arogancki. Wiedziała, że Josh nie zrobi nic, co mogłoby zranić ją albo jej dziecko. Był po prostu nadzwyczajny. I kiedy zorganizują już to przyjęcie i przestaną się spotykać, będzie go jej brakować. Po prostu.

- Nie chcę, żeby Meg zbyt przywiązała się do ciebie. Będzie jej przykro, kiedy przestaniecie się widywać.

- Jak to?

- No, przecież po tym przyjęciu klubowym nie będzie już potrzeby, żebyśmy się spotykali.

- Jak to? Przestaniesz mnie poznawać? - uśmiechnął się Josh. - Przecież pracujemy dosłownie obok siebie.

Josh wjechał na podjazd, zgasił silnik i spojrzał na Libby.

- Powiedz mi, że pójde z nią na imprezę. Z wielką ochotą.

Libby spojrzała na Meg.

- Josh zgadza się. Bardzo chętnie pójdzie z tobą. Meg spojrzała na Josha, uśmiechnęła się i po prostu rzuciła mu się na szyję. A Libby, gwałtownie mrugając oczami, wyskoczyła szybko z samochodu i zaczęła wyładowywać torby. Po chwili dołączył do niej Josh.

- Cieszę się, że Meg jest zadowolona - powiedział, odbierając od Libby pakunki.

- Tak...

- Libby, co się stało?

- Nic, naprawdę - odpowiedziała cicho i oboje ruszyli w kierunku domu.

- Powiedz, Libby, czym się martwisz.

- Martwię się o Meg. Teraz spotykasz się z nami, jesteś dla niej bardzo miły, a potem... potem będę musiała jakoś jej wytłumaczyć, dlaczego już nas nie odwiedzasz.

Ma rację, myślał Josh, idąc do samochodu po resztę toreb. Miała sto procent racji. Ale czy Libby podświadomie nie martwiła się i o siebie samą? Bała się, że Josh zrani jej dziecko, bała się, że zrani ją samą. Rozumiał to, przecież on też był pełen obaw. Ledwo co pozbierał się po rozwodzie i w wieku trzydziestu dziewięciu lat zaczynał wszystko od nowa. Powinien być teraz opanowany, czujny, nastawiony na pracę i

unikać kłopotliwych związków z kobietami. Niestety, za każdym razem, gdy spoglądał w błękitne oczy Libby McGuinness, natychmiast zapominał o wszelkich postanowieniach, owładnięty jednym, potężnym pragnieniem: być z Libby. Patrzeć na nią, rozmawiać z nią, poznać ją bliżej. Była nie tylko śliczna, ale i wspaniała. Kochała córkę, ale mądrą, rozsądną miłością. I choć ciągle przypominała mu o kłótni za parkingu i mamrotała pod nosem złośliwe uwagi, miała złote serce i mnóstwo wewnętrznego ciepła. Jeden jej uśmiech sprawiał, że człowiek zapominał o dojmującej samotności i zaczynał wielbić życie.

Libby jeszcze o tym nie wiedziała, ale Josh nie miał najmniejszego zamiaru przestać widywać się z nią. Obudziła w nim uczucia, choć już był przekonany, że jego serce zamieniło się w twardy głaz. I ten pocałunek... To nie był pierwszy pocałunek w jego, bądź co bądź, nie najkrótszym życiu. Ale na pewno najśłodniejszy.

Josh wniósł ostatnią partię toreb do małego pokoju, który Libby przeznaczyła na tymczasowy magazynek.

- To by było wszystko.

Na jego widok rączki Meg natychmiast zaczęły tańczyć i Libby westchnęła ciężko.

- Meg zaprasza cię do nowej gry.

- A co ty na to?

- Idźcie pograć, a ja przygotuję lunch.

- A więc ostatecznie jestem zaproszony?

- Tak.

- Świetnie, choć w twoim głosie, jak zwykle, nie słychać entuzjazmu. Skoro mnie zapraszasz, nie będę się opierać. Poza tym obiecuję, że pomogę przy zmywaniu. O ile Meg będzie mnie wspierać.

Libby przekazała propozycję Meg i dziewczynka skinęła skwapliwie głową. Potem chwyciła Josha za rękę i dość

energicznie zaczęła ciągnąć go do swojego pokoju. Libby westchnęła. A więc stało się. Jej córeczka wkrótce nie będzie umiała obejść się bez tego wysokiego, mądrego i opiekuńczego pana doktora. Jak trudno będzie jej potem pogodzić się z jego odejściem!

Starając się o tym nie myśleć, poszła do kuchni i zajęła się lunchem. Po wczorajszym święcie zostało mnóstwo pysznego jedzenia. Libby ustawiła na stole salaterki i półmiski z potrawami, wyjęła z kredensu talerze. Trzy talerze. Który to już raz? Niedługo doktora Gardnera będzie można uznać za stałego stołownika w domu pań McGuinness. I to jest bardzo nierozsądne. Josh chce, żeby zostali przyjaciółmi. Bardzo proszę, mogła się na to zgodzić, ale nie dopuści do tego, by ich znajomość przerodziła się w bardziej zażyły związek. Przede wszystkim ze względu na Meg, która potem będzie cierpieć. Nie, na to Libby nie mogła pozwolić.

- - Do diabła! - zakląła, gdy talerz wyslizgnął się z jej rąk i upadł na podłogę. Kucnęła i zaczęła zbierać skorupy. Tak będzie wyglądać serduszko Meg, kiedy dobry, mądry pan doktor zniknie z jej życia. Boże drogi, czy to serduszko da się potem skleić?

- Libby, nic ci się nie stało?! - krzyknął Josh, wpadając do kuchni.

- A co niby miało się stać'? - spytała szorstko, nie patrząc na niego. Pozbierała skorupy i wrzuciła do kubelka na śmieci, cały czas czując na sobie spojrzenie Josha.

- Dlaczego tak się na mnie... gapisz?

- Podziwiam cię. Zadajesz kłam powiedzeniu, że złość piękności szkodzi.

- Och, przestań, Josh. Najpierw pleciesz o przyjaźni, a potem robisz maślane oczy.

- Jakie oczy?

- No, tak ci jakoś ciemniej. Wiem, że chciałbyś mnie pocałować i wcale mi się to nie podoba.

- Dlaczego?

- Bo to mi się udziela. A ja wcale nie mam zamiaru całować się z tobą.

- Nawet po przyjacielsku?

- Nawet.

- Nawet, jeśli ci zdradzę, że ja ciągle walczę z tą pokusą? Niestety, bez skutku. A jeśli przypadkiem wpadniesz w złość, to wiem już tylko jedno. Że muszę cię pocałować tak żarliwie, abyś zapomniała o całym świecie. A przede wszystkim o tym, co cię rozgniewało.

- Josh!

- Przecież mówię jasno, Libby. Ty nie chcesz mnie pocałować, ja ciebie też nie, ale ten pocałunek po prostu wisi w powietrzu! Proponuję więc, pocałujmy się i wtedy te natrętne myśli wywietrzeją nam z głowy.

- Nie sądzę, żeby to było najlepsze rozwiązanie.

- Ja też - przyznał zgodnie Josh. - Ale nie znam lepszego. I dlatego proszę o jeden mały pocałunek.

- Ale...

Nie zdążyła już niczego wyjaśnić, ponieważ Josh przystąpił do realizacji swego planu. Już ją całował. Żarliwie i słodko. Tak, aby nie chciała, żeby kiedykolwiek przestał. Oczywiście, musiał w końcu zaczerpnąć powietrza. I kiedy cofnął się, cichutko gwizdnął, najprawdopodobniej z zadowolenia, a Libby rzuciła się do szuflady w poszukiwaniu sztuczków. Nagle poczuła na ramieniu ciepłą dłoń.

- Libby, hm, ja ci się chyba podobam, prawda?

- Może... czasami.

- Poza tym oboje lubimy się ze sobą całować. I oboje nie chcemy z nikim się wiązać, choć teraz pomyślałem sobie, że bylibyśmy bardzo dobraną parą.

- Co ty wygadujesz, Josh?

- Spójrz na nasz ewentualny związek trzeźwo i realistycznie. Oboje jesteśmy dorośli, wolni i ciągnie nas do siebie. Czy to nie wystarczy, aby się jednak... związać? Mam rację?

- A co z Meg?

- Libby. chyba nie przypuszczasz, że mógłbym zrobić coś, co zaszkodziłoby Meg? To dziecko, twoje dziecko. I wspaniała dziewczynka. Mówiłem ci już, że gdybym miał córkę, chciałbym, żeby była podobna do Meg.

- Ale... ja się boję, że kiedy odejdziesz, Meg będzie to bardzo przeżywać. Ona wychowuje się bez ojca, Josh.

- Dlaczego ciągle mówisz o tym, że odejdem? Przecież nigdzie się nie wybieram. Właśnie przyjechałem do Erie i próbuję zapaść tu korzenie. Otworzyłem gabinet tuż koło twojego salonu. Mam zamiar zostać w tym mieście na zawsze, tak więc, nawet jeśli zdecydujemy, że wyczerpaliśmy limit naszych pocałunków, zawsze znajdę czas dla Meg. Obiecuję, a złożenie takiego zapewnienia przychodzi mi z wielką łatwością, Libby.

Miała w zanadrzu tysiące argumentów, ale żaden z nich nie chciał przejść jej przez gardło. Nie pozwalały na to usta, które nagle zapragnęły pieszczot. Jakby znów w stąpił w nią jakiś diabeł, uparty i przekorny. Stanowczym krokiem podeszła do Josha, zarzuciła mu ręce na szyję i obdarowała go gorącym pocałunkiem, żarliwym i słodkim.

- A teraz możemy siadać do stołu - oznajmiła lekko zdyszczanym głosem. - I zapamiętaj, jeśli skrzywdzisz Meg...

- Libby, nawet o tym nie mów! Nie zrobię niczego, co obróciłoby się przeciwko niej.

Ciebie też nigdy nie skrzywdzę, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Postanowił już więcej na ten temat nie mówić. Teraz trzeba poczekać. Libby powinna trochę

pomyśleć, na spokojnie, w samotności. O nich, o ich pocałunkach, o ich związku. Patrzył, jak krząta się po kuchni. Libby. Szczupła, ciemnowłosa, z wielkimi, pięknymi oczami, które tak często płonęły oburzeniem. Libby, która w jego ramionach topnieje jak wosk. Niewiarygodnie cudowna i pociągająca. I mimo że gdzieś tam w środku odzywały się jeszcze nieśmiałe ostrzeżenia, że nie należy wiązać się na całe życie, że trzeba być ostrożnym - wszystko to przesłaniało jedno, najważniejsze pytanie: kiedy znów będzie mógł wziąć w ramiona Libby.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez resztę weekendu Libby zorganizowała sobie życie tak, aby za wszelką cenę unikać doktora Gardnera. Nie wymagało to zbyt wiele wysiłku, ponieważ Josh, jakby rozumiejąc jej intencje, nie dawał znaku życia. Nie zadzwonił, nie przyszedł, czyli wszystko szło jak po maśle. W niedzielę wieczorem, układając się do snu, Libby miała poczucie, że naprawdę panuje nad swoim życiem. Tak samo odprężona i pewna siebie była w poniedziałkowy rano, kiedy rączym krokiem spieszyła do pracy. Za sobą miała dwa cudowne dni, bez doktora i jego dyskusji o związkach i pocałunkach. Dni, które naładowały ją pozytywną energią, i teraz gotowa była stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu, a nawet... doktorowi Gardnerowi. Spodziewała się spotkania z nim, ostatecznie pracowali przecież nieomalże drzwi w drzwi. Równie bojowy nastrój miała we wtorek i w środę. Doktor milczał jak zaklęty, a ona nadal czuła, że mogłaby przenosić góry, choć od czasu do czasu, na chwileczkę, ogarniało ją uczucie przygnębienia. Nie było w tym nic dziwnego. Roboty miała huk, trudno więc, żeby organizm nie zareagował spadkiem formy.

W czwartek - kolejny dzień niezmacony żadną, nawet najdrobniejszą oznaką istnienia doktora Gardnera - czuła się wprost wspaniale. W związku z przyjęciem pozostało jeszcze kilka drobnych spraw do załatwienia, nie było to jednak nic pilnego. Libby w ostatniej chwili rzuciła słuchawkę na widełki i z zapalem zajęła się bieżącymi obowiązkami. Worek ze śmieciami zawiązany został trochę mocniej, niż było to konieczne. Oczywiście, wcale nie dlatego, że była zdenerwowana. Wprost przeciwnie! Ostatecznie cóż w tym dziwnego, że w piątek Josh namiętnie ją całował, a potem przez pięć dni nie dawał znaku życia? W dzisiejszych czasach takie zachowanie stało się obowiązującą normą.

Wymaszerowała dziarskim krokiem na dwór i podeszła do kontenera na śmieci. Niestety, ciężka kłapa nie dała się otworzyć za pierwszym razem.

- Może pomóc?

Oczywiście, to był Josh. Stał kilka kroków dalej i jak zwykle szczyrzył zęby.

- Dziękuję - odparła wyniośle. - Dam sobie radę. Uśmiech na twarzy doktora zgasł.

- Co się stało, Libby? - spytał cicho, ruszając w jej kierunku. Odległość między nimi zmniejszyła się niebezpiecznie i Libby zmuszona była odepchnąć Josha. No tak, pięć dni spokoju, a teraz znów zaczyna się piekło!

- A co się miało stać? - burknęła. - Wyrzucam śmieci. Ktoś musi to robić.

Na twarzy Josha znów pojawił się uśmiech.

- Jesteś wściekła, bo nie odzywałem się przez pięć dni - stwierdził, nie kryjąc satysfakcji. Zbliżył się do kontenera i uniósł ciężką kłapę.

- Cóż za bujna wyobraźnia! - rzuciła ostro Libby. Worek znikł w czarnej czeluści, a ona powinna teraz odmaszerować z dumnie podniesionym czołem. Niestety, słuszna postać doktora Gardnera zagrażała jej drogę odwrotu. Mało tego, Josh pochylił się i szepnął:

- Jutro wieczorem.

- Co? - wykrztusiła, czując, że ta nieznośna bliskość Josha przyprawia ją o szybsze bicie serca.

- Jutro wieczorem mamy randkę. Umawiam się z tobą, tylko z tobą. Żadnych małych dziewczynek i starszych pań, żadnych spraw klubowych. Tylko my dwoje. I jakiś dobry film.

- Randka! - prychnęła podenerwowana Libby. - Przez pięć dni nie dajesz znaku życia, a potem nagle zachciewa ci się randki!

- Liczyłaś dni?
- Nie tak trudno policzyć do pięciu!
- Jeśli liczyłaś, to znaczy, że myślałaś o mnie.
- Nie pochlebiaj sobie!
- Jakżebyś śmiała? Już ty wiesz, jak ściągnąć człowieka na ziemię!

Libby zrobiło się trochę głupio i chciała zaprotestować, ale Josh delikatnie położył palec na jej ustach.

- Cii! Nie kłóćmy się! A więc, jutro wieczorem?
- Nie wiem, czy to ma sens.

Najbardziej sensowne było trzymać się od Josha Gardnera z daleka. Od tego faceta, przy którym rozważna, opanowana Libby McGuinness zachowuje się jak nastolatka.

- Libby! Naprawdę nie ma powodu, żeby wpadać w panikę. Ustaliliśmy przecież, że oboje jesteśmy pełnoletni - powiedział Josh łagodnym głosem, którego prawdopodobnie używał, gdy przychodziło mu rozmawiać z najbardziej rozhisteryzowanymi pacjentami. - A dorośli ludzie umawiają się ze sobą. Po prostu dla przyjemności. Chodzą w różne miłe miejsca, całują się i tak dalej, co wcale jeszcze nie znaczy, że muszą pędzić do ołtarza. To tylko randka, Libby. Przecież o nic więcej cię nie proszę.

Głos Josha stawał się coraz niższy, coraz głębszy. Jego palce delikatnie dotykały włosów Libby, jej policzków, ust, a ona słyszała tylko bicie swego serca. Chciała znów protestować, szarpnąć się, ale jej ręka, ó dziwo, odsunęła dłoń Josha bardzo, ale to bardzo delikatnie. Co, u licha, dzieje się z Libby McGuinness, która zawsze wiedziała, jak pozbywać się natrętnych facetów?

- To tylko randka - powtórzył cicho Josh. - A nie małżeństwo. Po prostu umawiamy się na wieczór.

- I... i będziemy się całować?

- Oczywiście! - uśmiechnął się Josh i pogłaskał gęste loki Libby. - Będziemy się całować. Bez tego się nie obejdzie.

- W takim razie, muszę się jeszcze zastanowić - powiedziała Libby, nie poznając własnego głosu. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się mówić takim dziwnym, zduszonym szeptem.

- Przyjadę po ciebie o szóstej. Jestem pewien, że któraś z życzliwych ci pań zgodzi się przypilnować Meg.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale"! Libby, przez te pięć dni specjalnie nie dawałem znaku życia. Chciałem, żebyś sobie wszystko spokojnie przemyślała. Jutro idziemy na randkę, bądź gotowa o szóstej.

Josh uśmiechnął się, skinął głową i lekkim krokiem ruszył do drzwi, za którymi mieścił się jego gabinet. Libby wróciła do siebie. Krokiem równie lekkim, ponieważ, ku jej zaskoczeniu, perspektywa randki z Joshem Gardnerem wprawiła ją w wyśmienity nastrój. Czemu nie? Dawno już skończyła osiemnaście lat i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wyskoczyć gdzieś z przystojnym doktorem. Przyda jej się trochę rozrywki, ot tak, dla zdrowia psychicznego. Pójdą sobie do kina i będzie bardzo miło. Czy aby na pewno? A jeśli okaże się, że ta randka to poroniony pomysł?

W głowie Libby zaczęło huczeć od wielu natrętnych pytań i poważnych wątpliwości. Dobry nastrój prysł, co oczywiście zostało natychmiast zauważone przez czujną przyjaciółkę.

- Libby! Znowu się czymś zadręczasz! - oświadczyła oskarżycielskim tonem Pearly.

- To przez niego - odpowiedziała nadspodziewanie szczerze Libby. - Nie odzywał się przez pięć dni, a teraz napada na mnie przy śmietniku i proponuje randkę.

- Chodzi o Josha? - spytała dla porządku Pearly, zajęta wkładaniem ręczników do małej pralki, zainstalowanej na

zapleczu. - To dlaczego tak się denerwujesz? Przecież byliście już na randce.

- Na jakiej randce? Najpierw spotkaliśmy się, żeby omówić sprawy związane ze świątecznym przyjęciem. Potem kupowaliśmy prezenty dla dzieci i głupio było nie zaprosić go na lunch - wyliczyła szybko Libby, a potem dodała złośliwie: - Można powiedzieć, że wszystko poszło po waszej myśli!

- Całowaliście się? - spytała, a raczej stwierdziła Pearly, nie zwracając uwagi na komentarz Libby.

- No dobrze - powiedziała z rezygnacją Libby. - Całowaliśmy się, ale to stało się przypadkiem i oboje postanowiliśmy o tym zapomnieć. Zresztą, nieważne. W każdym razie, moje dotychczasowe spotkania z Joshem, ukartowane zresztą przez was, były podporządkowane sprawom klubu. A jutro... jutro mamy pójść na prawdziwą randkę, rozumiesz? Josh chce się ze mną umówić całkiem... prywatnie. Mogę się na to zgodzić, ale mogę też odmówić...

- A więc w czym problem?

- Nie wiem, czy powinnam się zgodzić. Josh podchodzi do tego na luzie. Uważa, że dorośli też powinni czasami się zabawić, a taka randka do niczego nie zobowiązuje. Zdaję sobie sprawę, że on ma rację i że ja też powinnam potraktować to z dystansem, ale nie potrafię. Po prostu okropnie się tym wszystkim denerwuję! Rozumiesz?

Pearly milczała i wszystko wskazywało na to, że szykuje się do wygłoszenia dłuższego przemówienia. Spokojnie włożyła ostatni ręcznik, nastawiła pranie i dopiero wtedy zabrała głos:

- Moja droga Liberty Rae McGuinness! Znam cię nie od dziś i wiem, że kręciło się wokół ciebie wielu facetów. Umawiałaś się, owszem, ale kiedy sprawy zaczynały przybierać poważniejszy obrót, natychmiast dawałaś nogę. Tak, Libby! Uciekasz jak zając, bo panicznie boisz się

bliskiego związku z mężczyzną. Tymczasem doktora Gardnera nie pozbędziesz się tak łatwo, bo pracuje kilka metrów dalej, a poza tym to nie jest facet, który pozwoli ci się wymknąć. Jest tobą wyraźnie zainteresowany, a ty, moja miła...

Pearly przerwała na chwilę i westchnęła głęboko.

- Co ja?

- Ty, oczywiście, już sposobisz się do ucieczki. Radzę ci, zastanów się. Nie podejmuj żadnej pochopnej decyzji, bo możesz potem tego gorzko żałować. I to nie przez jeden dzień, ale przez następne dwadzieścia osiem lat swojego życia. Zastanów się, Libby.

- Przez dwadzieścia osiem lat? Nie, jeszcze dłużej - mamrotała Libby pod nosem, wsiadając do zielonego vana. - Dwadzieścia osiem lat, trzy miesiące i cztery dni. Dokładnie tyle.

- Przepraszam, co powiedziałaś? - spytał zaintrygowany Josh.

- Gdybym nie zgodziła się na tę randkę, mogłabym żałować tego przez kolejne dwadzieścia osiem lat, trzy miesiące i cztery dni mojego życia.

- Zaraz, poczekaj, to bardzo ważna informacja! - zainteresował się Josh. - Dwadzieścia osiem lat, trzy miesiące i trzy dni, tak?

- Nie, już cztery - stwierdziła posepnie Libby.

- I tyle czasu miałabyś żałować, gdybyś nie zgodziła się na randkę ze mną?

- Podobno. Tak przynajmniej przepowiedziała Pearly - wyjaśniła Libby, sadowiąc się wygodniej. - No, ale niebezpieczeństwo zażegnane. W końcu zdecydowałam się doświadczyć na własnej skórze, jak to jest na randce z doktorem Gardnerem.

A było ciekawie. Podczas seansu Libby zupełnie zapomniała o swoim zdenerwowaniu. Film był bardzo smutny, jednak nie było jej pisane wpadać w rozpacz, ponieważ co chwila z wielkim zainteresowaniem zerkąca na swego towarzysza, którego reakcja wzbudzała w niej wesołość pomieszana z rozczuleniem. Bowiem mądry, wykształcony doktor Gardner, potężny i dojrzały mężczyzna wzruszał się jak naiwna panienska.

- Nie wiem, czy dobrze wybrałem film - powiedział po seansie. - Może ten wyciskacz łez wcale ci się nie podobał?

- Podobał, podobał, choć był bardzo smutny. Pewien pan, który siedział obok, prawie zalewał się łzami.

- Naprawdę? - zdziwił się Josh. - A to mięczak! Ja zawsze jestem niewzruszony jak głaz, choć lubię oglądać takie filmy. Jak każdy prawdziwy mężczyzna.

- A dlaczego prawdziwy mężczyzna chadza na takie filmy?

- Ma nadzieję, że dziewczyna, którą zaprosił do kina. przez cały seans będzie słodko szlochać na jego ramieniu.

Szlochać. Libby przypomniała sobie, kiedy płakała po raz ostatni. Wiele lat temu. W białym, sterylnym gabinecie. Razem z Mitchem stali przed biurkiem lekarza i czekali na wyrok. Kiedy lekarz powiedział, że bardzo mu przykro, ale Meg jest głucha, Libby zaczęła płakać. A Mitch stał obok i ani drgnął. Jakby jej ból zupełnie go nie obchodził. Jakby Meg nie była ich wspólnym dzieckiem. I dlatego pewnego dnia ich drogi się rozeszły.

- Ja... ja po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że jakiś mężczyzna miałby ochotę mnie pocieszać.

Josh spojrział na nią uważnie, ale nie odezwał się. Milczał przez całą drogę. Dopiero pod domem, już na podjeździe, kiedy silnik zgasł, spytał cichym, łagodnym głosem:

- Chciałabyś o tym pogadać?

W jego głosie Libby wyczuła prawdziwą troskę i pomyślała, że ten mężczyzna bardzo różni się od Mitcha. Josh nie stałby jak słup soli, ale przygarnąłby ją do siebie. Żeby tej bolesnej chwili nie przeżywali osobno.

- No, no, panie doktorze! - zażartowała, choć jej oczy były dziwnie zamglone. - Rozkleił się pan na sentymentalnym filmie i teraz chce pan, żebym wyplakała na pana ramieniu wszystkie smutki i żale! Wszystko po to. by mnie przekonać, że jest pan prawdziwym mężczyzną?

Josh zorientował się od razu, że Libby nadrabia miną : natychmiast podchwycił żartobliwy ton.

- Ten fakt nie podlega dyskusji, droga pani McGuinness! Nie ma bardziej męskiego faceta w całych Stanach. Faceta, którego silne ramię stworzone zostało między innymi po to, aby wspierać istoty kruche i wrażliwe.

- I jak wspiera to ramię?

- A tak!

Wyciągnął rękę i przyciągnął Libby do siebie. W pierwszej chwili pomyślała, że powinna się odsunąć. Ale potem przestała się opierać. W jego objęciach było ciepło i bezpiecznie. A kiedy usta Josha delikatnie dotknęły jej warg, była już na sto procent pewna, że jest tam, gdzie jej miejsce. Odsunęła się, owszem, ale dopiero wtedy, kiedy ich długi, namiętny pocałunek definitywnie dobiegł końca.

- Ja chyba w ogóle bardzo mało wiem o prawdziwych mężczyznach - stwierdziła po chwili lekko zdyszczanym głosem.

- Chyba tak - zgodził się Josh. - Ale pomogę ci uzupełnić twoją wiedzę.

- I tego właśnie obawiam się najbardziej!

- Nie! W pani oczach nie widzę ani odrobiny lęku, pani McGuinness - powiedział Josh radośnie. I rzeczywiście, po raz pierwszy w błękitnych oczach nie czaił się strach.

- A co pan w nich widzi, panie doktorze?

Doktor Gardner przez całe swoje dorosłe życie nieustannie zaglądał ludziom w oczy. Widział ich setki, tysiące. Były szare i brązowe, zielone i czarne, duże i małe. Ale żadne z nich nie były tak piękne i nie przypominały dwóch błękitnych jezior. Takie zobaczył dopiero teraz.

- Widzę w nich... widzę szalony apetyt na coś, co jest bardzo przyjemne.

Libby westchnęła.

- Mówiłam ci już, że jesteś arogancki?

- Tak, chyba nawet ze dwa razy.

Nie próbował jej pocałować. Siedzieli, wtuleni w siebie, jej włosy łaskotały go w policzek i było cudownie.

- Usłyszysz po raz trzeci. Panie doktorze, pan jest arogancki.

- Tak. Jestem arogancki i też mam apetyt na coś bardzo przyjemnego.

Libby roześmiała się i Josh odetchnął z ulgą. Libby nie tylko przestała się bać, lecz wreszcie była swobodna. Te pięć dni przerwy okazało się genialnym pomysłem. On, co prawda, męczył się w tym czasie jak potępieniec, ale warto było trochę poczekać. Udało się, apetyt Libby przewyciężył jej lęk.

- Libby?

- Co?

Ich kolejny pocałunek był jeszcze gorętszy. Libby przylgnęła do Josha całym ciałem, odpowiadała namiętnie na pieszczoty. Potem odsunęła się i oznajmiła:

- Muszę już iść.

- Godzina policyjna?

- Nie, ale powinnam wracać do dziecka.

Znikła łagodna, przepełniona żarem Libby. Teraz znów obok Josha siedziała trzeźwa pani McGuinness, nie

pozwalająca, aby ktoś wtargnął w jej spokojne, uporządkowane życie.

- Przecież ja nawet na moment nie zapomniałem, że masz Meg.

- Wiem, wiem. Ale...

- Znów chowasz się do swojej skorupy.

- Oj, panie doktorze, niech pan lepiej leczy oczy, a nie dusze!

Libby McGuinness znów wznosiła wokół siebie prawdziwy, trudny do zdobycia mur.

- Fakt. Najlepiej znam się na oczach - przyznał Josh. - Ale oczy są też zwierciadłem duszy, pani McGuinness, i można przez nie zajrzeć do ludzkiego wnętrza! Myślę, Libby, że kiedy ojciec Meg zniknął z twojego życia, skupiłaś się całkowicie na dziecku i pracy, zapominając o sobie, o tym, że ty też istniejesz i masz jakieś pragnienia. ..

- I ty zamierzasz teraz zaspokoić moje pragnienia? Z własnej i nieprzymuszonej woli?

Niewyparzony język Libby McGuinness znów dał o sobie znać, a to zwiastowało kłopoty. Josh poczuł, że za chwilę straci cierpliwość. Ile jeszcze bitew przyjdzie mu stoczyć z Libby? Dlaczego wiecznie musiał jej coś udowadniać i tłumaczyć? I właściwie, po co? Przecież to absurd. Obiecał sobie solennie, że nie będzie się z nikim wiązać, a tymczasem robił wszystko co w jego mocy, aby pozyskać przychyłność kobiety, z którą nieustannie skakali sobie do oczu.

- Wydaje mi się, że w jakimś stopniu już je zaspokoilem. Dziś przypomniałaś sobie, że jesteś kobietą. Nie tylko matką i bizneswoman.

- Jak zwykle okrasileś swą wypowiedz szczyptą arogancji! - rzuciła ostro Libby, prostując się jak struna, - A dla ścisłości, ja nigdy nie zapomniałam, że jestem kobietą.

- Naprawdę? To powiedz, kiedy ostatni raz całowałaś jakiegoś faceta?

- Ja...

- No właśnie.

- Ja nie całuję!

- Czyżby? Libby?

- Co?

- Pocałuj mnie. Teraz.

- Nigdy jeszcze nie spotkałam równie denerwującego osobnika - wymamrotała, błyskawicznie przysuwając się do niego.

- A ja kobiety, która bardziej niż ty nadawałaby się do całowania - wymruczał Josh, obejmując ją ramionami. - Choć kiepsko parkujesz i potrafisz człowiekowi zaleźć za skórę.

- Przestań już gadać - szepnęła. - Pocałuj mnie. Josh postanowił jednak być okrutny i na razie zajął się obsypywaniem drobnymi pocałunkami karczku i szyi Libby.

- Pocałuj mnie - prosiła Libby coraz żarliwiej.

- Ale Meg czeka na ciebie - droczył się Josh.

- Może poczekać jeszcze kilka minut - szepnęła Libby, sama szukając jego ust. - Przecież jest pod dobrą opieką.

Pół godziny później Libby cicho wślizgnęła się do holu, gdzie stała już na warcie siwowłosa przyjaciółka.

- No, i jak było?

- Film był świetny. Mnie, w każdym razie, bardzo się podobał. Nie wiem, jak Josh...

- Kobieto! Co tam film! - obruszyła się Pearly. - Powiedz, jak było w samochodzie?

- Nie rozumiem - odpowiedziała Libby, zajęta zdejmowaniem butów i bardzo zadowolona, że nie musi patrzeć Pearly w oczy.

- Oczywiście, że rozumiesz! Przez prawie trzy kwadranse nie ruszaliście się z samochodu! Na szczęście, przez twoje

rolety można sporo dojrzeć. Domyślam się, że zamieniliście ze sobą kilka słów, nie sądzę jednak, żeby te trzy kwadransy wypełnione były wyłącznie rozmową!

- Pearly! - Libby wyprostowała się i nieco drżącymi palcami zaczęła rozpinąć płaszcz. - Wyobraź sobie, że ja naprawdę nie rozumiem! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak uwzięłyście się na mnie i Josha! Co wy w nim widzicie? Jest uparty, arogancki...

- Tak, tak! Uparty, arogancki. - Pearly znacząco pokiwała głową. - Moja droga, oni właśnie tacy są! Mężczyźni, ma się rozumieć. Aroganccy, uparci. Chociaż, trzeba przyznać, nie każdy z nich decyduje się pocałować dziewczynę, która świadomie założyła sobie, że nie pozwoli dojść do głosu nawet namiastce jakiegoś uczucia.

- Odbiło ci, Pearly! Sugerujesz, że jestem pozbawiona uczuć?

- Skądże! Masz ich w nadmiarze i jesteś bardzo wrażliwa. Są jednak sytuacje, w których o tym zapominasz. A już na pewno, kiedy na horyzoncie pojawia się jakiś interesujący i porządny mężczyzna. Wtedy natychmiast salwujesz się ucieczką. Tak, Libby. Po prostu panicznie boisz się związać z kimś na poważnie.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak. Boisz się, co wcale nie oznacza, że tego nie chcesz. I dlatego ubzdurałaś sobie, że Meg i praca w zupełności ci wystarczą, aby jakoś przeżyć swoje życie. Tak, tak, Libby. Ty, Meg, praca, a naokoło postawiłaś płotek. W tym płotku jest furtka, ale trzeba siły Herkulesa, żeby ją otworzyć. Pamiętasz, ile czasu zabiegałyśmy z Josie, abyś łaskawie pozwoliła nam zaprzyjaźnić się z tobą? Jeszcze dziś często odnoszę wrażenie, że bardzo chętnie zamknęłabyś nam tę furtkę przed nosem. Ale my jesteśmy szybkie i mocno ją trzymamy. Dalej nie wchodzimy. Bo ten ostatni kawałek

drogi, jaki trzeba pokonać, żeby dotrzeć do ciebie naprawdę, zarezerwowany jest dla mężczyzny. I najwyższy czas, Libby, żebyś w końcu wpuściła jakiegoś faceta na tę ścieżkę. Bo tylko on wyleczy cię z samotności.

- Czyli co? Uważasz, że jestem dziwaczką? Że uciekam od ludzi, a w szczególności od mężczyzn?

- Kochanie ty moje, usłyszysz tylko jedno - powiedziała miękko Pearly, celowo wzmacniając swój południowy akcent.

- Moja mama mówiła, że kobieta, która ucieka od miłości, to kobieta, która boi się życia.

- Wcale się nie boję. Po prostu jestem ostrożna.

- Wmówiłaś to sobie - stwierdziła z westchnieniem Pearly i ruszyła do szafy po płaszcz. - Nie powiem już ani słowa, bo wyrzucisz mnie z pracy. Aha, z Meg wszystko w porządku, poszła spać o normalnej porze.

- Dziękuję ci, Pearly. Zanim jednak wyjdiesz, chciałabym, żebyś posłuchała, co ja mam ci do powiedzenia. Marzę o tym, żeby wszyscy przestali mnie bez przerwy do czegoś zmuszać. Tłumaczyłam Mabel, że nie mam ani czasu, ani ochoty organizować tego głupiego przyjęcia. Ale organizuję. Prosiłam, żebyście nie swatały mnie z Joshem. A wy tylko kombinowałyście, jak zostawić mnie z nim sam na sam. Mówiłam Joshowi, że nie mam zamiaru całować się z nim...

- I dlatego siedzieliście w samochodzie przez trzy kwadranse?

- No, tak - przyznała niechętnie Libby.

- A więc lepiej pomyśl o tym, co ci mówiłam.

- Teraz myślę tylko o tym, żeby położyć się spać. Pearly syknęła, ale zgodnie z obietnicą nie rozwijała

tematu. Szybko włożyła płaszcz i opuściła dom szefowej, której przed chwilą wygarnęła nieprzyjemną prawdę. A szefowa poczuła ulgę i wielkie zmęczenie. Nie tylko wyprawą

do kina, ale również kazaniem na temat swoich licznych wad i dziwactw. Co ta Pearly bredzi? Czy kobieta może się spełnić tylko przy mężczyźnie? Libby McGuinness wcale nie uważała się za kobietę niespełnioną. Miała córeczkę, pracę i sporo przyjaciół. Niektóre przyjaciółki potrafiły czasami nadepnąć na odcisk, ale kto by się tym przejmował. Grunt, że można było na nie zawsze liczyć.

Ale najważniejsza była Meg. Meg, na której koncentrowały się wszystkie myśli i poczynania Libby. Meg, która dla matki była nieustannym źródłem radości i dumy. Po co więc jakiś mężczyzna? Żeby zburzył ich mały świat? Libby otworzyła drzwi do pokoju dziecka i spojrzała z miłością na drobną buzię, na czarne włosy rozsypane po poduszce, na skotłowaną kołderkę. Tak. Ta panienka to najcudowniejsza rzecz, jaka przytrafiła się Libby McGuinness. Kiedy poprawiała kołdrę, mała westchnęła i otworzyła oczy. Jej rączki poruszyły się.

- Wróciłaś?
- Tak, myszko, już wróciłam. Śpij.
- Obudziłaś mnie.
- Przepraszam.

Libby pochyliła się i pocałowała dziecko w główkę.

- Śpij.

Jednak dziewczynka, wybita ze snu, siadła na łóżku i zażądała sprawozdania.

- Mamo, jak było?
- To znaczy?
- Oj, mamo! Wiadomo. Josh.
- Było bardzo miło.

Miło. Czy to nie za mało? Libby pomyślała o trzech kwadransach w samochodzie, o których mogłaby opowiadać długo, używając wielu pięknych słów. Jednak córeczce musi wystarczyć krótka informacja.

- Mamo! Cieszę się.

- Dlaczego?

- Lubię Josha. A on lubi mnie. No i lubi ciebie. Dla dziesięcioletniej dziewczynki sprawa była prosta.

Wszystko jest w porządku, bo wszyscy się lubią. Josh lubi Libby i Meg. Meg lubi Josha. Co u licha jest takiego w tym doktorku, że tak łatwo udało mu się owinać sobie wokół palca i dziesięcioletnią dziewczynkę, i siwiejącą damę z Południa?

- Mamo! Kiedy jesteś z Joshem, masz dobry humor. Chcę, żeby Josh był z nami zawsze.

Znów ta dziecięca logika! No i co z tego, że Libby jest zadowolona, a Josh lubi ją i jej córeczkę. Wszystko minie. Nadejdzie dzień, kiedy doktor Gardner przypomni sobie o jej istnieniu tylko wtedy, kiedy będą mijać się w drodze do pracy. Z ludźmi tak już jest. Zjawiają się w naszym życiu i pewnego dnia znikają na zawsze. Tak jak Mitch. Pearly, ten domorosły psycholog z Południa, niestety, nie myliła się. Libby unikała mężczyzn, bojąc się nowych ran. Ze strachu, że znów obdarzy kogoś uczuciem, które będzie skazane na zagładę. Tak było z miłością do Mitcha, ojca jej dziecka. Kochała głęboko, gorąco, zdawałoby się, na całe życie. A teraz nie czuła do niego nic. A więc wszystko przemija. To, co czuje do Josha, też przeminie. Zresztą, cóż ona takiego czuła? Też właściwie nic. Było jej po prostu... miło w jego towarzystwie. Nic więcej. Jedyne trwałe uczucie to miłość do dziecka.

Libby otuliła kołdrą zasypiającą dziewczynkę, pogłaskała ją po główce i poszła do swojej pustej, samotnej sypialni. Cały czas zastanawiała się, co będzie, kiedy krótka znajomość z doktorem Gardnerem skończy się. Meg go polubiła, bo był wesoły, radził sobie świetnie z matematyką i lubił gry wideo. Tak, Josh powinien mieć co najmniej pięcioro dzieci. Meg będzie za nim tęsknić, a Libby tak bardzo chciała oszczędzić jej smutku i rozczarowań. Może jednak córeczka okaże się

silna i potrafi zaakceptować fakt, że wszystko przemija? I kiedyś, po latach, będzie po prostu wspominać miłego pana, który odrabiał z nią matematykę? Może nie warto martwić się na zapas, a lepiej cieszyć, że w ich życiu zagościł na chwilę taki miły mężczyzna?

Mijały godziny, sen nie nadchodził. To nawet lepiej, bo przynajmniej Libby mogła spokojnie rozmyślać o doktorze Gardnerze. Wcale nie miała zamiaru odsądzać go od czci i wiary. Przeciwnie, rozpamiętywała w nieskończoność wszystkie zalety Josha. Był miły i inteligentny, szybko nawiązał kontakt z Meg. Często się uśmiechał, co przestało Libby przeszkadzać. Przeciwnie. Uśmiech Josha uznała za niezwykle ujmujący. A kiedy wreszcie zasnęła, doktor Gardner towarzyszył jej nadal, wypełniając sobą wszystkie senne marzenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- No, i jak było? - pytała Libby, choć z twarzy Meg i Josha łatwo było wyczytać, że wspólny wypad do Mercyhurst okazał się bardzo udany.

Czekała na nich z niecierpliwością, rozważając w duchu wszystkie warianty. Mogło się przecież zdarzyć, że Meg i Josh wrócą z zabawy w Mercyhurst niezadowoleni. Albo Meg będzie zachwycona, a Josh skwaszony. Albo na odwrót. Martwiła się bardzo długo, dochodząc w końcu do wniosku, że zadrećca się tylko po to, żeby nie wypaść z wprawy. Wszystkie smutki pierzchły, kiedy zobaczyła rozpromienione twarze. Josh, jak na dorosłego przystało, okazywał zadowolenie w sposób bardziej powściągliwy, natomiast mała Meg dosłownie zaplątała się w kurtkę, kiedy zdejmując okrycie, próbowała jednocześnie przekazać mamie najświeższe nowiny. Na szczęście Libby wszystko zrozumiała.

- Mamo, było super. A Josh umie zaśpiewać ze mną „Jingle Bells"! Pokażemy ci.

Libby powtórzyła Joshowi radosną wiadomość.

- Czy Meg zdążyła również poinformować cię, że nie jestem jeszcze mistrzem?

- Nie.

- Podziękuj jej, jest bardzo wyrozumiała.

Libby przetłumaczyła i Meg zaczęła się śmiać.

- Nieprawda! On robi to bardzo dobrze - zaprotestowała, dodając jednak po chwili: - No, może nie robi tego zupełnie źle. A najlepiej wychodzi mu ten kawałek, kiedy dzwonią dzwonki.

Teraz Libby roześmiała się w głos. Ten fragment piosenki nie nastrecał zbyt wielkich trudności, trzeba było po prostu potrząsać rękami.

Występ odbył się przy kominku, w którym wesoło huczał ogień. Libby rozsiadła się wygodnie na kanapie i po chwili klaskała i zwijała się ze śmiechu, podziwiając migową wersję „Jingle Bells” wykonaną przez artystów najwyższej klasy, czyli Meg i Josha. Meg rzeczywiście była świetna, a Josh... Josh przede wszystkim pełen zapału i dobrych chęci. Starał się bardzo, ale kiedy Meg zwiększyła tempo, zagubił się kompletnie. Nie przejął się tym zbytnio. Roześmiał się wesoło i pociągnął Meg za warkoczyk, a Libby poczuła, że coś chwyta ją za gardło. Znowu przekonała się, że dla Josha Meg była zwyczajną, rozbrykaną dziewczynką, a nie kalekim dzieckiem, które omija się z daleka.

Piosenkę odśpiewano do końca i artyści zgięli się w ukłonie. Libby biła brawo jak szalona, ukrywając swoje wzruszenie. Josh powiedział kiedyś, że większość ludzi uważa go za sympatycznego gościa. Ci głupi ludzie nie mieli racji. Sympatyczny? On był po prostu nadzwyczajny! Wspaniały!

- Wyślę mail do Jackie - poinformowała Meg i wybiegła z pokoju.

Libby, sam na sam z Joshem, nagle poczuła się nieswojo. Tym bardziej że jej myśli z żelazną konsekwencją zaczynały zmierzać w niebezpiecznym kierunku. Koniecznie trzeba było je zająć czymś bardziej... stosownym.

- Przepraszam, Josh, muszę wyjąć naczynia ze zmywarki!
- powiedziała szybko, zrywając się z kanapy.

Doktor ruszył za nią jak cień. W kuchni Libby podskoczyła do zmywarki, jakby naczynia za chwilę miały się roztopić. A Josh, mimo że w duchu błagała go, aby się nie zbliżał, ustawił się tuż obok. Siłą rzeczy przystała na jego pomoc. Libby wyjmowała naczynia ze zmywarki, Josh ustawiał je na stole.

- No, odwaliliśmy kawał solidnej roboty - oświadczył, odbierając ostatni talerz. - Teraz już z czystym sumieniem możemy przystąpić do następnego punktu programu.

- Jakiego? - spytała Libby dość niepewnym głosem.

- Pocałuję cię.

- Nie ma mowy - zaprotestowała drżącym głosem, bo Josh objął ją już ramieniem i delikatnie głaskał po policzku. - Muszę włożyć do zmywarki następną partię naczyń.

- Jedno nie wyklucza drugiego - zauważył Josh tonem odkrywcy. - Proponuję następujący harmonogram pracy: wkładamy jedną partię naczyń, szybko się całujemy i wkładamy następną partię. Robota będzie nam się palić w rękach.

- Niby dlaczego?

- To proste. Naczynia pofruną do zmywarki, bo nam będzie spieszno do następnego pocałunku!

Trzeźwa Libby McGuinness wiedziała, że należy po prostu odsunąć ramię Josha albo pokazać gościowi drzwi. Problem polegał na tym, że wyprosić kogoś z domu jest o wiele łatwiej, niż wyrzucić go z własnego serca.

Nie pokazała mu drzwi, nie odsunęła jego ramienia. Po prostu wspięła się na palce i poszukała jego ust. Całowała długo i namiętnie, z pełnym przekonaniem, że postępuje właściwie. A potem, prawie bez tchu, przerażona swoim strasznym czynem, odsunęła się jak najdalej.

- Pani McGuinness! - wysapał Josh, patrząc na nią zachwyconym wzrokiem. - Zdaje się, że mieliśmy całować się po kolejnej partii naczyń.

- Nie szkodzi. Wymyśliłam, że także i przed.

- Pani pomysł jest po prostu genialny.

Libby zabrała się znów do roboty. Josh dzielnie pomagał, bez końca perorując.

- Wiesz, to cudowne, że porozumieliśmy się co do tego całowania. W ogóle jest nadzwyczajnie Pracujemy zgodnie i w ogóle się nie kłócimy. Czy mówiłem ci już, że twoja kuchnia bardzo mi się podoba? Jest taka przytulna. A w Mercyhurst było bardzo przyjemnie i ciekawie. W ogóle dzisiejszy dzień jest nadzwyczaj udany.

- Z powodu imprezy choinkowej? Czy dlatego, że całujesz się z mną?

- Z obu powodów! A jeśli chodzi o całowanie się z tobą, to czuję, że wpadam w nałóg. I w ogóle podoba mi się, że jestem z tobą i z Meg przez cały dzień.

Ciekawe, ile jeszcze będzie takich dni, pomyślała Libby ze smutkiem. Ale nie chciała się teraz martwić. Niech ten dzień zakończy się równie miło, jak się zaczął. Było cudownie. Musi więc znów prędko pocałować Josha, bo tylko wtedy uda jej się przegnać smutek. I znów, bez uprzedzenia, zarzuciła Joshowi ręce na szyję i obdarowała go cudownie długim pocałunkiem.

- Ejże! Pani McGuinness! - zaprotestował bez przekonania Josh. - Pani zakłóca rytm pracy!

- Nie lubię rutyny - zakomunikowała radośnie pani McGuinness.

- W takim razie ja też się wyłamuję - oświadczył Josh, przyciągając ją do siebie. Jednak Libby odsunęła się. Natychmiast, bo w holu rozległy się czyjeś szybkie kroki i na progu kuchni stanęła Meg.

- Bawicie się?

Libby pomyślała, że jej policzki na pewno są purpurowe.

- Wpadło mi coś do oka, Josh właśnie próbował mi to wyjąć.

- A ja myślę, że wy się całujecie.

- Meg!

- Tak! Tak! - wołały zachwycone rączki dziewczynki. - On ciebie całował, a ty jego! Przyszłam zapytać, czy Josh nie ma ochoty pograć. Ale widzę, że na pewno nie będzie chciał. No dobra, to całujcie się dalej!

Dziewczynka zachichotała i odwróciwszy się na pięcie, pobiegła do siebie, a Libby, naturalnie, natychmiast poczuła skrepowanie i musiała poszukać winnego.

- No i widzisz, co narobiłeś?

- Ja? - zdziwił się doktor Gardner. - To ty rzuciłaś się na mnie.

- Faktycznie. Boże, do czego to doszło!

- Nie przejmuj się, Libby. Po prostu całowaliśmy się.

Normalna rzecz, nie sędzę, żeby to wydarzenie odbiło się niekorzystnie na psychice Meg. Raczej ją rozśmieszyło. W każdym razie na pewno nie była oburzona ani przestraszona.

Jednak Libby całkowicie odeszła ochota na słuchanie, jak okulista bawi się w psychoanalitka. Zapadła cisza, przerywana jedynie postukiwaniem naczyń.

- Chcesz się uspokoić i dlatego milczysz? - spytał ostrożnie Josh.

- Tak.

- Aha.

Zamilkł, ale po chwili znów zapytał:

- A może Meg była zdenerwowana? Chociaż mnie się wydaje, że to nie ona, a ty jesteś wyprowadzona z równowagi. I to bardzo.

Libby milczała dalej, choć naczynia zaczęły pobrzękiwać trochę głośniej.

- Czy Meg była zła?

- Nie - mruknęła Libby.

- No, to dlaczego tak się denerwujesz?

- Sama nie wiem - odparła zbolonym głosem, dziwnym trafem znów lądując w ramionach Josha. - Zupełnie straciłam głowę.

- Świetnie - ucieszył się doktor Gardner, szukając jej ust. - Bo ja też. Całkowicie.

- Koniec! - oświadczył triumfalnie Josh. Siedzieli w pokoiku zamienionym na tymczasowy magazynek i przez całe popołudnie pakowali prezenty. Byli sami. Josie zabrała Meg do siebie, aby Libby i Josh mogli spokojnie dokończyć przygotowania do klubowej fety.

- Koniec! - powtórzył Josh.

- Ale...

- Libby, zrobiliśmy wszystko, co należało - zapewnił Josh, zgarniając resztki kolorowego papieru do worka na śmieci.

- Może o czymś zapomnieliśmy?

- Nie zapomnieliśmy o niczym, pani McGuinness. A jeśli nawet jakiś drobiazg umknął naszej uwadze, zostanie nam to wybaczone. W końcu chodzi o przyjęcie dla członków naszego klubu, a nie o urodziny prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Ja po prostu chciałabym, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik - powiedziała cicho Libby.

- Perfekcja często prowadzi do zaburzeń psychicznych - oznajmił sentencjonalnie Josh. - A więc koniec! Słyszysz?

- Trzeba tu trochę posprzątać.

- Żadnego sprzątania, teraz idziemy na wagary - zdecydował Josh, spoglądając na zegarek.

- Na wagary?

- Tak. Meg ma być u Josie jeszcze jakieś dwie godziny, możemy więc z czystym sumieniem oderwać się na chwilę od tego przyjęcia, prezentów i tak dalej. Libby, wybieramy wolność.

- A gdzie jest ta wolność? - spytała Libby trochę podejrzliwie.

- Zobaczysz! Musisz się tylko ciepło ubrać.

Josh wiedział już, dokąd zabierze Libby. Na Presquot Isle, mały skrawek ziemi, wciskający się w jezioro Erie, na który w lecie ściągają tłumy. Josh pamiętał, że zimą rozległa plaża nie traciła nic ze swego uroku.

Zielony van szybko przejechał przez miasto i pognał Peninsula Drive. Ani Josh, ani Libby nie wykazywali ochoty do rozmowy. Libby czuła się trochę nieswojo, sam na sam z doktorem. Tak bardzo chciała nie poddawać się urokowi Josha i zachować niezależność! Ale jednocześnie... jednocześnie przy tym mężczyźnie czuła, że naprawdę żyje.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Josh, skręcając na parking koło Beach Three. Zielony van, posłuszny kierowcy, przytulił się do zderzaka niebieskiego trackera.

- Josh, po co ty tak się do niego przyklejasz? Przecież naokoło jest mnóstwo miejsca.

Josh, nie protestując, cofnął się kilka metrów.

- Zadowolona?

- Zadowolony będzie przede wszystkim kierowca tego trackera. Ty i Meg możecie śmiać się ze mnie, ale sposób, w jaki parkujesz, woła o pomstę do nieba!

- Czyli dalej twierdzisz, że nie umiem parkować?

- Naturalnie! Mało tego, ogłaszam wszem i wobec, że w tej dziedzinie na całym świecie nie ma większej ofermi niż doktor Gardner z Erie!

- Tak? A wiesz, co to oznacza?

- Nie.

- Wojnę!

Libby z piskiem wyskoczyła z samochodu i rzuciła się do ucieczki. Biegła, co sił w nogach, czując na plecach świszczący oddech Josha. Niestety, była tylko słabą kobietą i

po chwili leżała już na śniegu, przygnieciona potężnym ciałem prześladowcy.

- No i co pan zamierza ze mną zrobić? - spytała miękko i śpiewnie, naśladowując południowy akcent Pearly.

- Znam tylko jeden sposób, aby poskromić kobietę, która wątpi w moje umiejętności kierowcy!

- Błagam o litość! Ja mówiłam tylko o parkowaniu!

- Mimo to zostanie pani ukarana. Dobiorę się do pani... ust!

- Och, nie! Proszę, błagam! To gorsze niż tortury! - jęczała Libby, ukradkiem zgarniając ręką śnieg. - Za co zostałam skazana na tak okrutne męki? Za jedno nierozważne słowo?

- Jedno, ale bardzo okrutne! I będziesz cierpieć! - grzmiał Josh. - Mógłbym uciec się do innych środków, bardziej radykalnych. Niestety, znajdujemy się w miejscu publicznym, gdzie toleruje się tylko niewinne pocałunki.

- Ale ty i tak nie umiesz parkować! - krzyknęła Libby, ciskając mu w twarz śniegiem.

Zanim odgarnął śnieg z twarzy i przejrzał na oczy, jego ofiara zdążyła umknąć. Ale i tym razem już po chwili Libby poczuła na ramionach silne ręce prześladowcy.

- Dopadłem cię, gagatku! No i co mam teraz z tobą zrobić?

- Może po prostu... obejmiesz mnie?

- Hm. Niezły pomysł. W ten sposób uniemożliwię ci atak.

Objął ją mocno i stali tak bez ruchu, wtuleni mocno w siebie, zapatrzeni w słońce, chowające się powoli za pokryte lodem wydmy.

- Jak w bajce - westchnęła Libby. - W lecie często przyjeżdżam tu z Meg, zimą jestem po raz pierwszy. Nie spodziewałam się, że może tu być tak pięknie.

- A ja po raz ostatni byłem tu przed wieloma laty. Zapamiętałem jednak, że to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi - powiedział Josh i delikatnie pocałował Libby w karczek. - Nie! Najpiękniejsze! Bo ty jesteś ze mną.

Libby nie powiedziała nic, tylko mocniej wtuliła się w jego ciepłe, sprężyste ciało. Milczała, aby żadnym nieopatrzonym słowem nie zepsuć tej cudownej chwili - bez rozterek, bez żadnych wątpliwości, pełnej ciszy i piękna. Chwili szczęścia?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy ostatnie dziecko, ściskając w rączce wspaniałą prezent, zsunęło się z kolan Świętego Mikołaja, Libby odetchnęła z ulgą. Wszystko poszło gładko. Święty Mikołaj ruszył z powrotem do Laponii, a goście hurmem rzucili się do suto zastawionych stołów.

Josh miał rację. O niczym nie zapomnieli, wszystko było dopięte na ostatni guzik. Świąteczne spotkanie członków klubu i ich rodzin okazało się wielkim sukcesem organizacyjnym. Libby, spoglądając na barwny tłum gości, raczący się specjałami od Coltersów, pracowała usilnie, aby ugruntować w sobie uczucie ulgi. Bo jakżeby inaczej? Naturalnie, że czuje ulgę. Przygodę z doktorem Gardnerem miała za sobą, teraz wróci miłe, spokojne życie, wypełnione Meg i pracą. Zielony van nie będzie podjeżdżał pod jej dom, sama będzie wkładać swoje talerze do zmywarki. Niewykluczone, że spotka się jeszcze z Joshem, raz czy dwa, może nawet pocałują się. Też raz czy dwa. A potem oboje zapomną, jak smakują ich pocałunki i doktor Gardner będzie już tylko doktorem, który kłania się uprzejmie, ponieważ ma swoją praktykę w pobliżu, a ponadto należy również do Klubu Biznesmenów z Perry Square.

- Libby, czekamy na ciebie!

Usłyszawszy swoje imię, drgnęła i spojrzała na scenę. Przy mikrofonie stała uśmiechnięta pani prezes i machała do niej ręką.

- Wołają nas na scenę - szepnął dyskretnie Josh, biorąc Libby pod ramię, - Nie mamy szans, żeby dać nogę. Mabel jest bardzo uparta.

Uparta? Ona wywierci dziurę w brzuchu na wylot, pomyślała Libby, ruszając posłusznie w kierunku sceny.

- Powitajmy Josha i Libby, organizatorów tego wspaniałego przyjęcia! - ryknęła do mikrofonu pani prezes i w

sali Świętego Gerta zahuczało od oklasków. Mabel odczekała stosowną chwilę i przemówiła już bezpośrednio do dwójki organizatorów: - Kocham! W imieniu Klubu Biznesmenów z Perry Square chciałabym serdecznie wam podziękować za trud, jaki włożyliście w przygotowanie naszego spotkania. Wykonaliście świetną robotę i dlatego przygotowaliśmy dla was niespodziankę!

Pani prezes przerwała na moment i kiwnęła na Josie i Pearly, dotychczas stojące skromnie z tyłu sceny. Obie damy dostojnym krokiem zbliżyły się do Libby i wręczyły jej coś, co wyglądało na zaproszenie. Tymczasem pani prezes ponownie zabrała głos:

- Moi drodzy! Człowiek strudzony potrzebuje odpoczynku! Dlatego nasz klub postanowił zafundować wam miły wieczór, czyli kolację w restauracji najlepszego hotelu w Erie, na którą zaprasza Firma Waves! Do hotelu pojedziecie limuzyną z Leo's Limos, która przez cały wieczór będzie do waszej dyspozycji! Waszym zadaniem jest tylko podanie daty. Nasza niespodzianka może nie jest czymś nadzwyczajnym, ale chcieliśmy bardzo okazać wam naszą wdzięczność i mamy nadzieję, że będziecie się bawić wspaniale!

Znów zerwała się burza oklasków i Libby nie pozostało nic innego, jak serdecznie podziękować całemu trio za nadzwyczajny pomysł.

- Nie martw się o Meg - powiedziała Pearly. - Zajmiemy się nią, a więc nie możesz się wykręcić.

- Dzięki - odparła uprzejmie Libby, przyrzekając sobie w duchu, że kiedyś tym trzem swatkom odpłaci pięknym za nadobne. W międzyczasie do mikrofonu podszedł Josh.

- Dziękujemy bardzo za miłą niespodziankę! Dla Libby i dla mnie na pewno będzie to niezapomniany wieczór! A ja, osobiście, chciałbym jeszcze bardzo podziękować, że przyjęliście mnie, państwo, do swojego grona. Czuję się już

jak prawdziwy członek Klubu Biznesmenów przy Perry Square!

Krótkie przemówienie Josha zostało nagrodzone gromkimi brawami i goście powoli zaczęli opuszczać salę. Mabel, schodząc za Libby ze sceny, jeszcze raz wyraziła swoją wdzięczność.

- Jak to dobrze, że zgodziliście się tym zająć. Mało kto potrafi tak wspaniale współpracować ze sobą, jak ty i Josh! Po prostu zorganizowaliście to super!

- Dzięki - uśmiechnęła się dość krzywo Libby. - Jakoś udało się przez to przebrnąć. A teraz... teraz trzeba już tylko posprzątać.

- No, właśnie - powiedziała dość niepewnym głosem pani prezes. - Tak się składa, że Josie, Pearly i ja jedziemy teraz po zakupy. Chciałybyśmy zabrać ze sobą Meg, jeśli oczywiście się zgodzisz. Potem odstawimy ją do Hendersonów. Wychodzi na to, że...

- Że co?

- Naturalnie, zostaniemy, żeby ci pomóc, ale nie na długo. Dobrze wiesz, złotko, co teraz dzieje się w sklepach, a poza tym chcemy, żeby Meg spokojnie sobie wszystko obejrzała. A ona lubi się zastanowić...

- Czyli, krótko mówiąc, sprzątać będę ja. Sama!

- Sama? Dziewczyno, nie doceniasz mnie! - oburzyła się Mabel. - Josh ci pomoże.

Uśmiech Mabel był nieśmiały i pełen słodczy, jakby chciała przeprosić za tę jeszcze jedną manipulację, ale Libby wcale nie była wytrącona z równowagi. Przecież na tym sprzątaniu i tak cała afera się kończy. Trzy damy nie będą miały więcej okazji, żeby bawić się w swatki. Nie będzie też powodu, żeby zmusić Josha i Libby do częstych spotkań, każde z nich zajmie się swoimi sprawami, wszystko wróci do poprzedniego stanu. Tak, jak mówiła Pearly. Libby będzie

dzielić życie między Meg i pracę, a wokół swego serca wybuduje wysoki mur. I żal, że doktor Gardner już nie będzie próbował go przeskoczyć, bo przecież zajmie się swymi sprawami. Trzeba nauczyć się żyć bez jego uśmiechu, przemów, jego mądrych, ciemnych oczu i... słodkich pocałunków.

- No, to lećcie, Mabel - powiedziała Libby trochę minorowym głosem. - Możesz być zupełnie spokojna, zajmę się wszystkim.

- Dzięki, złotko. Ale Josh ci pomoże! - przypomniała Mabel.

- W czym? - spytał Josh, podchodząc bliżej.

- Moje przyjaciółki zabierają Meg po świąteczne zakupy - wyjaśniła Libby. - A ja i ty mamy tu posprzątać.

- Nie ma problemu - przystał natychmiast usłużny doktor. - Mam nadzieję, że nie taki diabeł straszny...

Libby spojrzała na pobożowisko, jakie zostawili po sobie członkowie klubu i ich rodziny, i chrząknęła znacząco. Jednak, zgodnie z przewidywaniami Josha, sytuacja nie była tragiczna. Przez pół godziny zdążyli pozbierać do worków porozrzucane wszędzie papiery, w które zapakowane były prezenty.

- Nie rozumiem, po co ten zwyczaj pakowania prezentów w kolorowy papier - gderała Libby, usiłując zawiązać worek, wypchany do granic możliwości. - Przecież i tak wszyscy od razu wyrzucają opakowanie do śmieci! A wszystko po to, żeby producenci papieru nie poszli z torbami.

- Masz rację, to tylko biznes, a lasów szkoda - sekundował jej Josh, rzucając swój worek na sporą stertę, rosnącą powoli w rogu sali. - Ja w ogóle uważam, że powinno się wrócić do dużych toreb na zakupy.

- Ja też.

- Bingo! - wykrzyknął Josh triumfalnie. - Dwa razy pod rząd zgodziłaś się ze mną, a więc nie jest tak źle. Wygląda na to, że pod pewnymi względami jesteście do siebie podobni.

- Nie sędzę - stwierdziła chłodno Libby, zabierając się za składanie krzesel.

- A ja uważam, że mam rację - ciągnął niestrudzenie Josh, przesuwanając stół pod ścianę. - Na przykład, oboje lubimy czarną kawę.

- Taką kawę pije połowa mieszkańców Stanów.

- No, to... filmy! Oboje lubimy stare filmy. Poprzedniego wieczoru Josh znów zaprosił Libby na stary, sentymentalny film z Natalie Wood w roli głównej. Obejrzała z przyjemnością, tym bardziej że znów miała okazję dyskretnie pozachwycać się doktorem Gardnerem, który wzruszył się niemal do łez.

- To klasyka. Wszyscy lubią stare filmy, nie jesteście pod tym względem wyjątkowi - zaoponowała Libby, ale niezbyt stanowczo. Czowała, że zaczyna ogarniać ją romantyczny nastrój. Jaka szkoda, że nie istnieje prawdziwy Święty Mikołaj, spełniający najskrytsze marzenia. O co by go poprosiła? Wiadomo. Żeby nie pozwolił odejść temu doktorowi od oczu, który nakłada ludziom na nos różowe okulary, sprawiając, że świat staje się o wiele piękniejszy! Ale Świętego Mikołaja nie ma, a marzenia nigdy się nie spełniają. Owszem, życie funduje nam piękne chwile, ale rzadko, od czasu do czasu, a długo i szczęśliwie żyje się tylko w bajkach.

- Nieprawda. Przecież są ludzie, którzy nie znoszą starych filmów.

- Och, wymyśl coś lepszego, Josh. Coś oprócz kawy i filmów.

- Proszę bardzo! - Twarz Josha znów zajaśniała triumfem.

- Meg! Kochasz swoją córeczkę, a ja ją bardzo lubię. Bardzo!

- To zrozumiałe - stwierdziła Libby, zapominając całkowicie o skromności. - Moja Meg jest wyjątkowa!

- Naturalnie - przytaknął Josh, przysuwając do ściany z kolejny stół. - Ach, i jeszcze coś znalazłem.

- Co?

Josh odstawił stół i nagle znalazł się tuż przy Libby.

- Oboje lubimy się całować - ogłosił, przyciągając ją do siebie. - Oczywiście, ja z tobą, a ty ze mną, inne osoby wykluczone.

Libby nie zaprzeczała, ponieważ byłoby to kłamstwem wołającym o pomstę do nieba. Uwielbiała całować się z Joshem Gardnerem, choć jeszcze przed tygodniem każdego, kto powiedziałby, że pocałunki z tym panem staną się jej ulubioną rozrywką, wyśmiałaby bezlitośnie.

- Pan jest nadzwyczaj pewny siebie, panie doktorze - zauważyła z przekąsem, obejmując Josha za szyję.

- O, coś nowego! Czyli nie jestem już arogancki?

- Jesteś, jesteś, ale podczas całowania ta akurat cecha jest jak najbardziej pożądana - powiedziała łaskawym tonem Libby. - Ktoś, kto jest bliski ideałowi, może pozwolić sobie na szczyptę arogancji.

- Czy pani daje mi do zrozumienia, że całuję, hm... nie najgorzej?

- Może - mruknęła Libby, zajęta obsypywaniem jego policzków drobnymi pocałunkami.

- Pani też jest w tym niezła.

Josh spojrzał nagle w górę i uśmiechnął się.

- Znajdujemy się w bardzo adekwatnym miejscu!

Dokładnie nad ich głową wisiał wspaniały bukiet z jarzębiny i jemioly, jedna ze świątecznych dekoracji, którymi przyozdobiono salę Świętego Gerta.

- Nie mamy więc wyboru - powiedziała cicho Libby, czując falę ciepła, ogarniającą jej ciało. I wtedy usłyszała cichy szept:

- Kocham cię, Libby.

Ciepło znikło, znikło wszystko, co było miłe, pociągające, bezpieczne. Znow wrócił strach.

- Nie!

- Libby...

Jedno słowo, naznaczone ogromnym bólem. Ale Libby McGuinness wsłuchana była tylko we własny lęk.

- Nie mów tego, Josh!

- Dlaczego? Libby, ja ciebie kocham.

- Nieprawda.

Jest tylko samotny. Wrócił do rodzinnego miasta, w którym wiele się zmieniło, pewnie dlatego czuje się tu obco. A ona... po prostu spodobała mu się, pociąga go jako kobieta. Zresztą, co za różnica, wszystko jedno. Przede wszystkim tego, co czuje Josh, na pewno nie można nazwać miłością.

- Libby, proszę! Ja... nie chciałem poddać się temu, sama wiesz, co sobie obiecałem. Ale nic nie poradzę. Nie potrafię uciec od tego uczucia, jest coraz głębsze i silniejsze. To zaczęło się chyba już wtedy, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

- Nie sędzę - skomentowała chłodno Libby, wysuwając się z jego objęć. - Podczas naszego pierwszego spotkania kłóciliśmy się o to, kto z nas źle zaparkował swój samochód. Potem zaprzyjaźniliśmy się i chyba trochę przesadziliśmy z okazywaniem uczuć. Ale to nieważne. Powinieneś wiedzieć, że ja mogę ofiarować ci jedynie przyjaźń. Nic więcej.

- Jesteś pewna?

- Tak, najzupełniej pewna - powiedziała Libby, ruszając do drzwi. - Muszę jechać do domu.

- Nie musisz! Po prostu uciekasz ode mnie! Poddajesz się. A tyle razy walczyłaś ze mną do upadłego. Dlaczego teraz składasz broń? Boisz się przegranej? A może chcesz nam coś za wszelką cenę udowodnić?

- Nie będę walczyć, Josh - powiedziała Libby, sięgając po płaszcz. - Bo nie chcę, żeby ktoś znowu mnie zranił.

Patrzył, jak Libby wkłada płaszcz i drżącymi palcami usiłuje zapiąć go chociaż na jeden guzik.

- Odwiozę cię.

- Nie trzeba.

- Oczywiście! Dumna Libby McGuinness nie potrzebuje niczego i nikogo.

Nieprawda, mylił się. Libby potrzebowała Meg, a Meg potrzebowała matki. Zawsze tak było, i zawsze tak będzie. Oto i sens oraz treść jej życia.

Próbowała wyjść, ale Josh stanął w drzwiach.

- Powiedziałem, że odwiozę cię do domu.

- Dobrze, skoro tak nalegasz. Nie będę musiała dzwonić po taksówkę.

Poszła za nim do zielonego vana. Oboje milczeli, wiedząc, że nie ma już nic do powiedzenia. Wszystko się skończyło, z powodu tych trzech słów, których Josh nie powinien był wypowiedzieć. W milczeniu wsiedli do samochodu. Libby czuła, że Josh aż kipi z gniewu, a przecież ona wcale nie chciała go zranić. Był dla niej kimś ważnym, choć teraz na pewno by w to nie uwierzył. To oczywiste, że wiele ich łączyło. Oboje mieli za sobą kilka ciężkich przeżyć, można też powiedzieć, że oboje byli na zakręcie. Lubili czarną kawę, stare filmy i burzliwe dyskusje, na ogół też udawało im się dojść do porozumienia. Josh podobał jej się, a i ona, z całą pewnością, nie była mu obojętna. Ciągnęło ich ku sobie. Ale czy to jest miłość?

Libby z ulgą powitała moment, kiedy van nareszcie zatrzymał się na podjeździe.

- Dziękuję, że mnie podwiozłeś - powiedziała cicho. - Do widzenia, Josh.

- Poczekaj!

Jego głos, zwykle dźwięczny i mocny, teraz łamał się.

- Powiedz, Libby, co mam zrobić, żeby cię przekonać? Przecież ja naprawdę ciebie kocham.

- Josh, to bez sensu - powiedziała Libby smutno. - W twoim życiu dzieje się teraz tyle nowego i nie miałeś czasu zastanowić się nad swoimi uczuciami. A przecież tu chodzi o coś więcej niż umówienie się na randkę. Josh, ja nie mogę ryzykować. Ze względu na Meg.

- Zastaniasz się Meg.

- Nie, nie zastaniam się, Ale...

Nie dokończyła. Ramiona Josha objęły ją z rozpaczliwą siłą, jakby nigdy nie miały jej wypuścić. A pocałunek - prawie zabolął.

- Nie uciekniesz, Libby! - powiedział chrapliwym, zmienionym głosem. - Nie uciekniesz od tego, co narodziło się między nami, co istnieje na pewno i czego nie wolno zmarnować. Żadne z nas nie szukało nowej miłości. Ona sama przyszła. Libby, ja rozumiem. Przez tyle lat byłaś zdana tylko na siebie i powodowana strachem, że sobie nie poradzisz, nauczyłaś się kierować wyłącznie rozumem. A teraz nadszedł czas, żeby spytać o radę swe - go serca Ono wie najlepiej, ale ty boisz się do niego zatrzeć Boisz się prawdy, Libby. W naszych sercach żyje miłość, której nie da się zwalczyć Dopóki będzie się tlić. na pewno o mnie nie zapomnisz. Życie nie zawrze układu się tak, jak sobie zaplanowaliśmy. Dlaczego tak panicznie boisz się zmian?

Ale Libby nie słuchała. Nie chciała słuchać. Odepchnęła Josha i jednym susem wyskoczyła z samochodu. W sekundę

była pod drzwiami. Wyciągnęła z torebki klucz i długo nie mogła trafić nim do zamka. Potem zatrzasnęła za sobą drzwi, oparła się o nie i z jej ust wydobył się zdławiony szept

- Josh, wybacz

Powoli przeszła przez udekorowany świątecznie hol i nagle wydało jej się, że każda kolorowa kokardka śmieje się z głupiej Libby McGuinness Weszła do kuchni. Do kuchni, w której spędziła z doktorem Gardnerem wiele miłych chwil Gdzie śmiali się, kłócili i obdarowywali pocałunkami Czy to miłość? Nie. Tylko pożądanie i samotność Przynajmniej w przypadku Josha A co czuła ona? To samo. Tęskniła za mężczyzną. Mądrym, miłym, przyjacielskim, takim właśnie jak Josh. Serce Libby ścisnęło się boleśnie, ale oczy pozostały suche. Nie umiała płakać choć często, kiedy patrzyła, jak jej córeczka dzielnie zмага się z losem, ogarniało ją wielkie wzruszenie. Ale nie płakała. Jej łzy nauczyły się, że nie wolno im wypływać spod powiek. Kiedyś wylała ich całe morze. Wiele lat temu, gdy musiała pogrzebać swoje marzenie o szczęściu. Teraz w jej sercu obudziło się nowe marzenie. Marzenie, któremu natychmiast nakaże odejść Stała nieruchomo, wsłuchana w siebie. W jej oczach nadal nie było ani jednej łzy. Ale płakała, gorzko i rozpaczliwie. Płakała całą sobą.

Ulice były puste. Na szczęście, bo Josh gnał jak szalony. Po prostu chciał być już w domu. Chciał się uspokoić, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jego serce nie da się już uciszyć. Przecież pokochał. Pokochał błękitnooką Libby McGuinness, płochliwą jak sarna, która nieraz zalała mu za skórę, a bez której nie potrafi już żyć. Libby, która nie wierzy, że Josh ją kocha i że w jej sercu również obudziło się uczucie. Libby, która się boi.

Do diabła! On też się boi, ale nie zrezygnuje z niej. Kiedyś dał jej pięć dni do namysłu. Teraz też da jej pięć, by

uzmysłowiła sobie, że Joshua Gardner ją kocha i wierzy, że są sobie przeznaczeni. Kiedy Josh poznał Libby, wydała mu się kobietą mocno stąpającą po ziemi. Z takimi osobami aż chce się pogadać, bo każda rozmowa dostarcza wielu mocnych, niezapomnianych wrażeń. A kiedy poznał ją bliżej, dostrzegł inną Libby, czułą i wrażliwą, z którą chętnie zostałby na zawsze. Tak też się stanie. Josh nie miał żadnych wątpliwości. Miejsce Libby McGuinness jest przy jego boku. Będzie o to zabiegał, będzie walczył. I dopnie swego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Meg wpadła do kuchni jak tornado.

- Mamusiu! Przed domem stoi wielki samochód! Niemal jednocześnie rozległ się dzwonek u drzwi, światło zamigotało, ale Meg, z którą matka odbyła poważną rozmowę, nie starała się jej ubiec. Libby szybko wytarta ręce w ściereczkę do naczyń, przebiegła przez hol i uchyliwszy drzwi, natychmiast miała ochotę zamknąć je z powrotem.

- Po co przyszedłeś? - spytała cichym, zdenerwowanym głosem. - Przecież zakończyliśmy już naszą... znajomość.

- Dlaczego mówisz „my”? Ja niczego nie kończyłem. W tym momencie zza szerokich pleców Josha wyłoniła się kształtna, siwowłosa główka.

- Cześć, kochanie!

- Pearly? - wykrztusiła zdumiona Libby. - Co się tu właściwie dzieje?

- Zapomniałaś? Jesteście umówieni na dzisiaj. Ty i Josh. Popatrz! Oto twoja karetka!

Libby spojrzała na piękną, lśniącą limuzynę, czekającą na podjeździe, i energicznie potrząsnęła głową.

- Nigdzie nie jadę.

- Oczywiście, że jedziesz - powiedziała kategorycznym tonem Pearly, odsuwając Libby na bok i wchodząc do holu. - Ja zostaję z Meg. Klamka zapadła i nie możesz się teraz wymigać. Chyba że... chyba że z sobie tylko znanych powodów trzęsiesz się ze strachu przed wspólną kolacją z doktorem Gardnerem.

- Niczego się nie boję - burknęła Libby, patrząc z rosnącą irytacją na Pearly, najspokojniej w świecie wieszającą płaszcz w szafie. Pewnie, że się nie bała, tylko podjęła już pewne decyzje. Najlepsze z najlepszych, i dla siebie, i dla Meg. - Powiedziałam doktorowi Gardnerowi, że nic nas już nie łączy, zakończyliśmy przecież współpracę przy organizowaniu

spotkania świątecznego. Nie ma więc powodu, bym spędzała w jego towarzystwie jeszcze jeden wieczór.

- Co takiego? - odezwał się Josh, któremu wyraźnie zaczynała przeszkadzać obecność Pearly. - Jeśli, twoim zdaniem, zupełnie nic nas nie łączy, to tym bardziej nie widzę przeszkód, żebyśmy nie mogli zjeść razem kolacji.

- Powinnaś iść, Libby - przekonywała dalej Pearly, która widać uznała, że ma w tej sprawie coś do powiedzenia. - Przecież ta kolacja to tylko mile zakończenie waszej współpracy. Ubieraj się!

Szybko zdjęła z wieszaka płaszcz Libby i wręczyła go przyjaciółce.

- Wesolej zabawy, Libby! I nie wracajcie za wcześnie. Meg i ja chcemy mieć trochę spokoju, bo będziemy piękły pyszne ciasteczka.

Libby oceniła trzeźwo, że jej domowy strój nie bardzo nadaje się na kolację w lokalu, chciała jednak ten cały cyrk mieć jak najszybciej za sobą. Bez słowa sprzeciwu włożyła płaszcz i po chwili siedziała na tylnym siedzeniu wspaniałej limuzyny. Sztywno wyprostowana, obok równie sztywnego Josha. Przez kilka minut w samochodzie panowała kompletna cisza. Libby kontemplowała elegancką, skórzaną tapicerkę i wyglądała przez okno. W końcu cisza stała się nie do zniesienia. Wtedy Libby zdecydowała się na pierwszy ruch.

- Ustaliliśmy, że wszystko skończone.

- Nie. To ty tak powiedziałaś i uciekłaś - odparł ze stoickim spokojem Josh, ściągając rękawiczki i kładąc je obok siebie na siedzeniu. - A ja wcale nie potwierdziłem, że podzielam twój pogląd i zgadzam się z twoją decyzją.

Jego spokój coraz bardziej działał Libby na nerwy.

- Niedobrze mi się robi od tych waszych amatorskich psychoanaliz! - wybuchła. - Ty, Mabel, Josie i Pearly dobraliście się jak w korcu maku. Każde z was uważa, że ma

święte prawo wygłaszać mi kazania. Czepiacie się każdego wypowiedzianego przeze mnie słowa, natychmiast analizujecie każdy gest, wszystkie zachowania. A może zajmiemy się dla odmiany twoją osobą? Mówiłeś, że z żoną ci nie wyszło, bo nie chciała mieć dzieci. Może właśnie dlatego znalazłeś sobie kobietę z dzieckiem, żeby mieć gotową rodzinę?

- Założyć rodzinę nie jest tak trudno. Chyba że chciałbym to zrobić z tobą - stwierdził doktor Gardner. - Pani jest niezwykle skomplikowanym przypadkiem, pani McGuinness.

- Nie musi pan się mną zajmować, doktorze Gardner! Była wściekła jak diabli. Miała dość doktora Gardnera i jego oślego uporu. Dlaczego uczepił się jej jak rzep psiego ogona? Dlaczego nie zostawi jej w spokoju? Inni ludzie bez większych ceregieli odchodzili z jej życia. Mitch odpłynął, nawet nie rzuciwszy jej na pożegnanie ostatniego spojrzenia!

- Jednak będę - odparł Josh, dalej zachowując kamienny spokój. - A ponieważ chcesz poznać parę szczegółów, dotyczących mojego małżeństwa, więc ci zdradzę, że prawdziwą przyczyną jego rozpadu wcale nie był fakt, że mieliśmy z moją żoną odmienne zdania na temat posiadania dzieci. Zastanawiałem się nad tym, zwłaszcza teraz, kiedy spotkałem ciebie. Chciałem wreszcie zrozumieć, co powoduje, że małżeństwo przestaje istnieć.

- No i do czego doszedłeś?

- Związek przestaje istnieć, kiedy ludzie, mimo że nadal są razem, przestają siebie dostrzegać. Tak jak ja i Lynn. Prowadziliśmy wspólną praktykę lekarską i to nas bez reszty pochłaniało. Uczucie znikło, nie przerodziło się jednak w niechęć czy nienawiść. Żyłem nadal z Lynn, pod jednym dachem, choć praktycznie małżeństwo już nie istniało. Mimo to nadal trwaliśmy w takim gładkim związku, bez wzlotów i upadków, który dawał pozory względnej stabilizacji. Dlatego

kiedy dowiedziałem się, że Lynn występuje o rozwód, miałem wrażenie, że poraził mnie grom z jasnego nieba. Byłem wściekły, ale szczerze mówiąc, gdzieś w środku odczułem ulgę.

- Co jednak nie tłumaczy, dlaczego nie chcesz zerwać tej... naszej znajomości. Skąd wiesz, czy ja też nie sprawię ci jakiejś przykrej niespodzianki, jak zrobiła to Lynn!

- Jesteś zupełnie inna, Libby. Nie chcę cię stracić, bo jestem przekonany, że nasz związek będzie szczęśliwy, tylko trzeba nad nim popracować. - Josh spojrzał na Libby i uśmiechnął się: - I to dosyć ciężko!

- Ale nas nie łączy żaden związek, nad którym trzeba pracować!

Josh miał wielką ochotę przysunąć się do Libby. Dzielilo ich dziesięć, może dwadzieścia centymetrów. Cóż to jednak znaczyło wobec tego dystansu, który musiał pokonać słowem, aby przebić się przez mur, za którym Libby McGuinness skrzętnie ukrywała swoje emocje? Tak skrzętnie, że nawet sama nie potrafiła ich dostrzec.

- Nie istnieje żaden związek - powtórzyła Libby.

- Owszem, istnieje. I nawet go zaakceptowałeś, dopóki nie powiedziałem ci o swoich uczuciach. Wtedy wpadłeś w panikę i uciekłeś. Ale, niestety, Libby, ja i tak cię dogonię. Nie masz szans, bo w grę wchodzi prawdziwe uczucie.

Libby miała nadzieję, że szofer, który w tym momencie uchylił okienko oddzielające jego kabinę od foteli dla pasażerów, nie dosłyszał ostatnich słów Josha.

- Proszę państwa, jesteśmy na miejscu. Okienko zamknęło się.

- Ja nie idę! - powiedziała szybko Libby.

- Libby, przecież nie prowadzę ciebie do ołtarza, tylko na kolację!

- Nie! I wybij sobie z głowy, że coś nas łączy. A do tego samochodu wsiadłam tylko po to, żeby z tobą porozmawiać. Tak. Wyjaśnić wszystko do końca. A o wspólnej kolacji zapomnij!

- Znowu uciekasz?

- Daj już spokój z tym wiecznym analizowaniem mojego postępowania! Po prostu wracam do domu, do mojej córki i do mojego życia - oznajmiła zdecydowanym tonem Libby i energicznie zapukawszy w okienko, zawołała do szofera: - Proszę pana, czy mógłby pan odwieźć mnie do domu?

Szofer skinął uprzejmie głową i limuzyna ruszyła w drogę powrotną. Josh nie protestował. Spojrzał tylko na siedzącą obok kobietę i stwierdził:

- Zasłaniasz się Meg, to niesamowite. Zrobiłaś z córki tarczę ochronną.

Libby nie zaszczyciła go już ani jednym słowem. Powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia. Nie było żadnego związku i nie będzie. Libby McGuinness nie chce być z nikim, a już na pewno nie z Joshem Gardnerem. Patrzyła w okno, bo to było o wiele łatwiejsze, niż spoglądanie na smutną twarz Josha. Nie chciała go zranić, dlatego zrywała tę znajomość, żeby nie przysparzać mu jeszcze więcej bólu. Boże, jakie to szlachetne! I z gruntu fałszywe. Przecież ona przede wszystkim myśli o sobie. Boi się własnych niezabliźnionych ran. Boi się miłości, boi się prawdziwego życia...

Kiedy limuzyna zatrzymała się na podjeździe, Libby natychmiast wyskoczyła na zewnątrz i jak strzała pomknęła do drzwi. Znow trzęsącymi się dłońmi poszukała kluczy, otworzyła drzwi i wpadła do środka. Teraz należało już tylko zatrasnąć drzwi, co, niestety, okazało się niewykonalne.

- Mogę wejść? - spytał Josh, stając nagle w progu. - Odesłałem kierowcę, zostałem więc pozbawiony środka lokomocji.

- No, to masz pecha - burknęła Libby, wściekła, że jeszcze nie udało jej się uwolnić od towarzystwa doktora Gardnera. Tak bardzo pragnęła, żeby sobie poszedł, ponieważ czuła, że z jej sercem zaczyna dziać się coś bardzo dziwnego. Zabolało, ukłuło. A ona nawet nie chciała pamiętać, że w ogóle ma serce. Ten organ powinien pozostać uśpiony. Żadnych marzeń, żadnych pragnień. I nie wolno uwierzyć, że Josh ją pokochał. Jeśli w to uwierzy, serce przestanie kłuć. Ale pęknie z żalu, kiedy Josh odejdzie. A Josh na pewno odejdzie, przecież wszyscy odchodzą....

- Josh, czy do ciebie nic nie dociera? Pojeździliśmy sobie limuzyną i powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia. Nic dodać, nic ująć. Nadszedł czas, żebyś pogodził się z faktami. A teraz, proszę, wracaj już do domu.

Odwróciła się i ruszyła przez hol. A Josh zamknął drzwi i ruszył za nią. Stała więc na środku holu i krzyknęła:

- Josh! Co mam zrobić, żeby cię przekonać, że to już koniec?

- Nic. Po prostu żadnego końca nie będzie.

- Ale...

Nie dokończyła, bo nagle, tuż za nią, ktoś ze złością tupnął małą nogą.

- Mamo! Chodź już, my razem z Pearly pieczemy ciastka! Czy Josh też mógłby nam pomóc?

I nagle ręce Josha poruszyły się.

- Powoli - powiedział w języku migowym. - Rozumiem, co mówisz. Ja? Mam pomóc?

W jego oczach był wielki znak zapytania, a w oczach Libby i Meg wielkie zdumienie. Potem rączki dziewczynki zatrzepotały. Josh uśmiechnął się i powtórzył:

- Powoli.
- Josh! - krzyknęła Libby, prawie oskarżycielskim tonem.
- Ty znasz język migowy.
- Uczę się. Byłem już na paru lekcjach w Mercyhurst - wyjaśnił Josh, uśmiechając się dumnie, i zademonstrował: - Dzień dobry, nazywam się Joshua Gardner. Jestem okulista. Do widzenia.

Na twarzy Meg malował się nieopisany zachwyty, a Libby przeżywała męki. Jej serce znów dało o sobie znać, a ponadto w sposób ostateczny dotarło do niej, że klub psychoanalityków - amatorów miał rację. Ona uciekała. Uciekała już nieraz, ale teraz uciekała od człowieka, który dla jej córki nauczył się języka migowego. Josh Gardner wcale nie miał zamiaru pozwolić jej na ucieczkę, ponieważ, jak prawdziwy mężczyzna, nie dopuszczał, aby sytuacja go przerosła. Po odejściu Mitcha Libby bała się, że kiedy znów będzie chciała się na kimsz wesprzeć, to ten ktoś usunie się na bok, a ona upadnie. Ale Josh? Josh był inny. Josh był po prostu nieugięty. Patrzyła, jak rozmawia z jej głuchą córeczką, jak uśmiecha się do dziecka. Tak. Był po prostu nadzwyczajny. Także dlatego, że obdarzył uczuciem Libby McGuinness, osobę nieufną i nadmiernie ostrożną, pilnie broniącą dostępu do swego serca. Czy Josh poradzi sobie ze wszystkim? Czy ona znajdzie w sobie dość siły, aby wspierać Josha?

A serce Libby wysłało do mózgu sygnał, że na wszystkie pytania jest tylko jedna odpowiedź - tak. A kiedy już raz doszło do głosu, nie miało zamiaru zamilknąć. Nadal zachodziły w nim niepokojące zjawiska. Coś w nim rosło i powoli zaczynało dominować.

- Umiem jeszcze kilka krótkich zdań - powiedział trochę nieśmiało Josh i rozpoczął kolejną demonstrację: - Lubić.

Lubię święta. Wesołych Świąt. Kochać. Kocham Meg. Kocham Libby.

Po policzkach Libby popłynęły dwa małe strumyczki. Te łzy, którym tyle lat kazała mieszkać pod powiekami, nie posłuchały. Uznały widocznie, że dziś wolno im popłynąć. Bo nie były to łzy rozpacz.

- Ja też ciebie kocham - powiedziały szybko rączki Meg, ze szczerością osoby dziesięcioletniej, której jeszcze obce są różne gierki.

A z głębi kuchni rozległo się gromkie wołanie Pearly:

- Meg, wracaj! Ciastka ci się przypała!

Libby przetłumaczyła i Meg pobiegła do kuchni, zostawiając Libby samą z Joshem i z tym uczuciem, które dziwnie pęczniało i powoli zaczynało brakować mu miejsca. Patrzyła na Josha, na mężczyznę, który od niej nie odejdzie, choćby starała się go do siebie zniechęcić w najbardziej wymyślny sposób.

- Nauczyłem się jeszcze jednego zdania - powiedział cicho Josh, unosząc dłonie. - Libby, czy zostaniesz moją żoną?

Z policzkami, mokrymi od łez, pofrunęła wprost w jego ramiona.

- Naprawdę tego chcesz, Josh? Kochasz mnie?

- Oczywiście - szepnął jej do ucha. - I nigdy się mnie nie pozbędziesz. Możesz mnie męczyć, dręczyć, klócić się ze mną dzień i noc. Możesz przestać wierzyć swoim uczuciom i odejść, a ja i tak pójdę za tobą. Taki już pani los, pani McGuinness! Zawsze będę cię kochać. Ciebie i Meg. Waśnie tak zaplanowałem sobie przyszłość. Co ty na to?

- Będziesz kochać nas obie?

- Tak, Libby, i będziemy rodziną. Kocham was i nikt ani nic nie zdoła tego zmienić. Wyjdiesz za mnie?

Libby wspięła się na palce i delikatnie pocałowała Josha. On też ją pocałował, a potem szepnął do ucha:

- Chyba nie jesteśmy sami.

Popatrzyli w stronę kuchni i napotkali dwa rozanielone spojrzenia. Pearly i Meg. Libby uśmiechnęła się do córeczki i przekazała najświeższą wiadomość:

- Josh chce się ze mną ożenić. Dziecko odpowiedziało:

- Już czas.

Pearly nie potrzebowała żadnych wyjaśnień.

- Chwała Bogu! Nareszcie! A już się bałam, że coś sknocię i będziesz tego żałowała przez następne...

- Dwadzieścia osiem lat! - dokończyła Libby, a Josh zwrócił się do jeszcze jednej, bardzo ważnej osoby.

- Meg! Ożenię się z twoją mamą, dobrze?

- Dobrze, ale jeszcze nie dziś - odpowiedziały bez wahania ręce Meg. - Teraz piekę ciasteczka. Potem Boże Narodzenie. Choinka i prezenty. Potem ślub.

Kiedy zwróciła się do matki, jej rączki znów poruszały się z zawrotną szybkością.

- Mamo, zgodziłaś się, prawda?

- A ty tego chcesz?

- Mamo!

Rozentuzjasmowane spojrzenie Meg mówiło za siebie. Problem ostatecznie rozstrzygnęła Pearly, która złapawszy Meg za rękę, pociągnęła ją z powrotem do kuchni, rzucając na odchodnym:

- Przestań go dręczyć, Libby! Masz powiedzieć „tak”!

Kiedy obie kucharki znikły w głębi kuchni, Josh wyjaśnił ostatnią wątpliwość.

- Meg pozwoliła mi wziąć z tobą ślub po świętach! Libby, czy ona naprawdę nie ma nic przeciwko temu?

- Ona jest w siódmym niebie, Josh! Matematykę ma z głowy, będzie miała z kim pograć i w ogóle. Meg jest tobą zachwycona...

Libby znów wspięła się na palce i pocałowała Josha.

- Czy to znaczy, że mówisz „tak”?

- Tak - odparła Libby, prawie pewna, że strach powróci do jej serca. Ale w jej sercu nadal było ciepło, spokojnie i radośnie.

Josh sięgnął do kieszeni i wyjął małe, zielone pudełeczko.

- Proszę, otwórz.

Libby patrzyła z zachwytem na prześliczny pierścionek ze szmaragdem i teraz ona gorączkowo chciała wyjaśnić ostatnie wątpliwości.

- Josh, naprawdę tego chcesz? Zastanowiłeś się? Przecież ja mam Meg, a Meg ma... problem.

- Problem Meg nie istnieje - uśmiechnął się Josh, wsuwając pierścionek na palec Libby. - Uczę się języka migowego i będę mógł z nią rozmawiać. Masz wspaniałe dziecko Libby. Mądre i ufne. Problemem była dla mnie zawsze mama Meg. Uparta, odgradzająca się od całego świata...

- Teraz jest inaczej, panie doktorze - powiedziała cicho Libby. - Mama Meg kocha pana.

- Wiem.

- Wiem? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Nie, nie tylko. Chcę dodać, że Kocham bardzo mamę Meg.

Josh objął znów Libby, nie zdążył jednak pocałować, bo od strony kuchni dało się słyszeć kategoryczne tupnięcie i rączki Meg zawirowały.

- Macie zamiar całować się tak bez końca? Mielicie pomóc przy ciasteczkach! Chodźcie już!

- Zrozumiałem „ciasteczka” - pochwalił się Josh.

- Tak! Zaganiają nas do roboty - śmiała się Libby, kiedy posłusznie maszerowali za Meg do kuchni.

A potem, kiedy patrzyła na Josha, który przekomarzając się wesoło z Pearly i Meg, z przejęciem układał na blasze ciasteczka, czuła, że to, co obudziło się w jej sercu, było potężne i wszechogarniające. I nie ulegało żadnej wątpliwości, że była to miłość. A tych różowych okularów, które przepisał jej doktor Gardner, nie zdejmie już nigdy. I świat właśnie taki się stał. Różowy i radosny.